

Leigh Michaels

Miodowy Miesiąc

(A Singular Honeymoon)

Rozdział 1

Coś nagle zaszeleściło. Sharley podniosła oczy znad wypracowania, które poprawiała. Był piątek, popołudnie, już tylko dziesięć minut do końca lekcji, więc nic by nie było dziwnego, gdyby jej uczniowie nie siedzieli spokojnie. Ale zobaczyła dwadzieścia główek pochylonych nad zadaniami z matematyki.

Ale, nie, Sharley się pomyliła. Wprawdzie dziewiętnastoro dzieci rozwiązywało zadania, lecz jeden chłopiec robił ze swego arkusza papierowy samolot. Westchnęła więc i wezwała go do siebie.

– Jeśli skończyłeś, Josh – powiedziała – możesz cichutko zająć się czymś innym.

Josh wyszczerzył do niej zęby, po czym rozprostował kartkę z zadaniami i przeszedł obok jej biurka do okna.

– Panno Collins, niech pani zobaczy, jaki ładny czerwony ptak – wyszeptał dosyć głośno.

Sharley zerknęła na karmnik za oknem. Dzieci napełniały go każdego ranka przez całą zimę. Jaskrawopurpurowy ptak na przemian to czyścił sobie pióra, to chwycił w dziób ziarenka.

– A pamiętasz, jak się ten ptak nazywa? – spytała.

Josh zmarszczył brwi, a potem pokręcił przecząco głową.

– To kardynał – powiedziała Sharley. – Możesz go rozpoznać po pomarańczowym dziobie i zabawnym czubie na łebku. A czy czerwony kardynał jest rodzaju męskiego, czy żeńskiego? – zapytała.

– Żeńskiego – oświadczył Josh – bo to dziewczyny lubią ubierać się kolorowo.

Podszedł do biurka i dotknął rękawa jej szafirowego swetra.

– I lubią świecidełka – dodał, wskazując na pierścionek z brylantem na palcu jej lewej dłoni.

Sharley poruszyła ręką tak, że brylant chwycił światło. Rzucił błyski nawet przy jarzeniówkowym oświetleniu klasy. Ale oczy Spena, tego wieczoru, kiedy wsuwał pierścionek na jej palec, błyszczały jeszcze promienniej...

Nie czas na marzenia, upomniała się w myślach.

– No cóż, Josh, twoja teoria o kolorach nie jest prawdziwa, przynajmniej jeśli chodzi o ptaki. Ten kardynał jest rodzaju męskiego.

– Naprawdę? To chłopak? O kurczę! – Oczy mu rozbłysły i znów popatrzył w okno.

Sharley skrupulatnie sprawdziła jego pracę. Nie opuścił nawet najbardziej podchwytliwych pytań. Cóż, w czasie weekendu będzie musiała wymyślić dla Josha z pół tuzina nowych, znacznie trudniejszych zadań.

Arkusze zaczęły spadać na jej biurko jeden za drugim i w klasie zrobił się gwar. Za chwilę dzwonek ogłosił pauzę. Ale dwóch chłopców nie skończyło jeszcze rozwiązywania zadań i Sharley musiała poprosić ich o oddanie prac. Sama była trochę spóźniona, bo powinna już być na boisku i nadzorować bawiące się dzieci. Więc szybko zamknęła drzwi klasy za sobą, po drodze zapinając płaszcz.

Na korytarzu spotkała Amy Howell, nauczycielkę, z którą się przyjaźniła.

– Nareszcie cię mam! – roześmiała się Amy. – Próbować coś ci przemycić jest jeszcze trudniej, niż oszukać moje dzieciaki.

Wyciągnęła pudełko. Niewielkie, zawinięte w kolorowy papier, z ogromną białą kokardą na wierzchu. Sharley zerknęła na nie i zapytała z wahaniem:

– Co to za okazja?

Amy jęknęła:

– Dziewczyna za tydzień wychodzi za mąż i jeszcze pyta, co to za okazja?! Nie mogłam ci dać wczoraj, przy oficjalnym wręczaniu prezentów, bo jakby to zobaczył dyrektor, mógłby dostać palpacji serca!

– No to sądzę, że nie powinnam tego otwierać także i przy dzieciakach.

– Ani przy ciotce Charlotte – mruknęła Amy. – Nie wydaje mi się, żeby ta osoba potrafiła docenić tego rodzaju prezent. Ale założę się, że Spencer doceni. Zostawię to na twoim biurku.

Sharley zaśmiała się i otworzyła ciężkie, przeszklone drzwi na boisko. Dochodził stamtąd gwar rozbrykanej dzieciarni. Wszystko wyglądało normalnie. Dzieciaki biegały, krzyczały, kopały piłkę. Tylko w kącie boiska kilka dziewczynek z powagą maszerowało w tę i z powrotem. Ręce miały złożone jak do modlitwy, główki uniesione w górę.

Bawią się w ślub, domyśliła się Sharley. Zabawa w ślub stała się popularna, odkąd ponad dwa miesiące temu, zaraz po bożonarodzeniowej przerwie, powiedziała swoim uczniom, że po feriach marcowych nie będzie już panną Collins, tylko panią Greenfield.

Dwa miesiące! Bardzo krótki czas, żeby załatwić wszystko. A teraz, jeszcze tylko osiem dni i włoży białą suknię, jedwabną z koronkami, najpiękniejszą suknię na świecie, i pójdzie główną nawą kościoła do ołtarza, gdzie będzie na nią czekał Spencer Greenfield.

Spen! Cudowny, przystojny i taki mądry Spen. Można z nim dyskutować o

wszystkim. Od fizyki nuklearnej i teorii względności do zagadnień światowej ekonomii. Ale on wybrał ją, chce spędzić życie z kobietą, dla której szczytem wiedzy jest nauczanie Josha różnicy między kardynałem a dzieciołem.

Jednak nie było nic uwłaczającego w jej pracy. Lubiła zajęcia z dziećmi, choć czasem były męczące. Wierzyła, że to, czego nauczy siedmiolatków w szkole podstawowej, będzie miało wpływ na ich stosunek i do nauki, i do życia. A cóż jest ważne, jeśli to nie jest?

Spencer mógłby się ożenić z każdą inną dziewczyną. Jednak aż do Bożego Narodzenia nie zauważyła, żeby się z kimś spotykał. Ale nie zauważyła także, aby na nią zwracał uwagę. Od czasu do czasu ciotka Charlotta zapraszała go na obiad. Ale to wcale nie znaczyło, że przychodził, bo chciał zobaczyć Sharley. Przychodził, bo wuj Martin był jego szefem. I chociaż w te wieczory zawsze mieli mnóstwo do powiedzenia, nie było w tym nigdy nic osobistego. Mówili o polityce, o książkach, o sprawach publicznych.

Tak było aż do przyjęcia urządzonego przez firmę wuja przed Bożym Narodzeniem...

Dziesięć rączka pociągnęła ją za rękaw i zaniepokojony głosik zapytał:

– Czy pani nie słyszała dzwonka, panno Collins?

Dzieci ustawiły się przy wejściu, czekając, żeby je wprowadziła. Sharley potrząsnęła głową. Nie wolno mi się tak zamyślać, skarciła siebie, wchodząc do klasy.

Dobrze, że zdecydowali się na szybki ślub, chociaż to bardzo kolidowało z jej zajęciami w szkole. Trudno, żeby ślub i miesiąc miodowy zmieściły się w przerwie wiosennej. Przyszły czwartek, to był ostatni dzień nauki przed feriami. W piątek zrobi ostatnie zakupy, spotka się na lunchu ze swoimi druhami i pójdzie do kosmetyczki.

Ślub w sobotę, a potem cały tydzień spędzi ze Spenem w Nassau, w kurorcie na Wyspach Bahama. Ciotka Charlotta zapewniła ją, że jeśli będą chcieli, to mogą nie spotkać tam nikogo, prócz pokojówki i kelnera.

Cały tydzień nic i nikt nie będzie im przeszkadzał. To będzie raj...

O, cholera! – zmartwiła się. Żeby mieć cały tydzień w Nassau, musi przedłużyć swoje ferie wiosenne. Lekcje się zaczną bez niej. Musi więc przygotować materiały i poprosić kolegów o zastępstwo. Jak to możliwe, że dotąd o tym nie pomyślała?

Nie pomyślała, bo w jej głowie od Bożego Narodzenia nie było miejsca na nic innego, prócz Spena.

Po ostatniej lekcji Sharley ciągle jeszcze pracowała przy swoim biurku, kiedy

weszła Amy Howell.

- Co? Ciągłe jeszcze ślęczysz nad książkami? Nie otworzyłaś paczki?
- Boję się, że mógłby nagle wejść prezes Komitetu Rodzicielskiego.
- To będę stała na straży. Umieram z ciekawości, żeby zobaczyć twoją reakcję.
- Właśnie dlatego jej nie otwieram – zaśmiała się Sharley i przecięła sznurek.

Rozwinęła paczkę z papieru. Podniosła wieczko pudełka. Wewnątrz, na zwojach czerwonej błyszczącej bibułki, leżała cienka jak pajęczynka, króciutka czarna koszulka z koronki. Sharley nigdy takiej nie widziała.

– Jak myślisz, co powie Spencer, kiedy wyjdiesz w tym z łazienki w noc poślubną? Albo raczej, co zrobi? – zachichotała Amy. – O rany, Sharley, zaczerwieniłaś się jak burak!

- To odbicie od bibułki.
- No, nie! Kochanie, poślubisz mężczyznę, więc nie bądź taką skromniśią!
- To, że kobieta zachowuje cnotę do nocy poślubnej, pomyślała Sharley, nie znaczy wcale, że jest świętoszką. I wcale nie znaczy, że było to łatwe. W ciągu ostatnich dwóch miesięcy wiele było sytuacji, w których o mało nie straciła rozsądku. I Spencer rozumiał, dlaczego to dla niej jest tak ważne. Może nie doceniał jej uczuć, ale rozumiał.

Nie próbowała tłumaczyć tego przyjaciółce. Wiedziała, że Amy nie mogłaby pojąć, iż kobieta, zaręczona od dwu miesięcy, nie spała jeszcze ze swym narzeczonym.

Amy wyjęła z rąk Sharley cienkie jak spaghetti ramiączka czarnej koronki i wrzuciła koszulkę do pudełka.

– Musisz mi powiedzieć – roześmiała się – czy koszulka zasługuje na to, jak się nazywa. A nazywa się... pierścieniowy negliz! Podobno można ją przeciągnąć przez męską obrączkę.

– Dziękuję ci, kochanie. Jeśli mi się uda nie przekroczyć granic przyzwoitości, powiem ci, jaka była jego reakcja.

Amy znów się roześmiała.

– Mam nadzieję, że nie będę rozczarowana. Życzę ci tego z całego serca!

Wzięła z biurka Sharley oprawioną w ramkę fotografię Spena i przyjrzała jej się z bliska.

– Przystojny. Zawsze miałam słabość do chłopaków z dołeczkami w brodzie. – Odstawiła fotkę na biurko.

Uśmiech Spena chwycił Sharley za serce. Uśmiechnęła się także, jakby do niego. Amy ma rację. Jest bardzo przystojny. Ciemne włosy, klasyczne rysy.

Sharley też miała słabość do mężczyzn z dołeczkami. Przynajmniej do tego jednego.

Ale to nie z powodu dołeczków zakochała się w nim. A dla czegoś takiego, jak błyski w jego szarych oczach, tak mocne, nawet na fotografii, że wymagały odzewu. Pamięta, był bardzo rozbawiony tego dnia, kiedy robiła tę fotkę. Wstąpiła do Hudson Products, z koszykiem pełnym prowiantów, w ciepły, styczniowy dzień i zaprosiła go na piknik do parku w przerwie obiadowej. Spen wyszedł ze swojego pokoju w biurze, oparł się o stolik sekretarki, skrzyżował ramiona na ładnym szarym kaszmirowym swetrze, i wtedy właśnie Sharley strzeliła fotkę.

– Ona ci nie przeszkadza? – zapytała Amy, mając na myśli sekretarkę Spencera. Sharley rzuciła okiem na stojącą na drugim planie postać.

– Wendy? Oczywiście, że nie.

– Jest bardzo atrakcyjna.

– Czy przypadkiem nie zauważyłaś, kochanie – powiedziała Sharley uszczypliwym tonem – że ja też jestem pociągająca? – Przeciągnęła zalotnie palcami po złotych włosach i zatrzepotała rzęsami.

– Zwłaszcza w czarnych koronkach... – Amy roześmiała się. – Co robisz w weekend? Odpoczywasz przed ślubem?

– Za dużo byłoby szczęścia. Mam całą listę rzeczy do zrobienia. I ciocia Charlotta miała w sobotę pomagać w podawaniu deserów, w czasie zbiórki na fundusz stypendialny, a nie bardzo się...

– ... czuje. I ty, oczywiście, zastąpisz ją. Słowo daję, Sharley, ona zawsze zwała na ciebie rzeczy, których nie chce robić. Pod pretekstem złego samopoczucia.

– Wcale nie zawsze. Po wylewie, który miała kilka lat temu, to i tak jest cudowne, że w ogóle może cokolwiek robić. Poza tym, ona i wuj Martin tacy są dla mnie mili, że zastąpienie cioci przy krojeniu sernika to naprawdę drobnostka.

– Przypuśćmy, że tak – mruknęła Amy. – Muszę jeszcze skończyć plan lekcji. I zgadnij, co mam zamiar robić przez cały weekend?

– Obawiam się, że nie zgadnę.

– Będę się zastanawiać, co wymyślić dla ciebie i dla Spencera na nowe mieszkanie.

Sharley zmięła zapisany arkusz papieru i cisnęła nim w przyjaciółkę. Amy uchyliła się i znów się śmiejąc, opuściła klasę.

Ciepły wietrzyk złudnie obiecywał wiosnę. Jak na północny stan Iowa marzec był w tym roku łagodny. Sharley wracała do domu. W połowie drogi między szkołą

a domem minęła kilka większych budynków, a potem zaczęły się wille w stylu kolonialnym i małe domki. Prawie wszystkie były schludne i dobrze utrzymane. Stały na obszernych parcelach. Ale żadnego z nich nie można było porównać do dyrektorskich domów rozłożonych wzdłuż ślepych uliczek dalej od centrum miasta. Niektóre z nich to prawdziwe rezydencje.

Dom Charlotty i Martina Hudsonów był właśnie jedną z nich. Cofnięty od ulicy, za wysokim parkanem, osłonięty drzewami i zielenią, ledwie był widoczny dla przechodnia. Widać było tylko mur z szarej cegły, okna w wykuszach na piętrze i ciemnoczerwony gzyms. Natomiast garażu i domku ogrodnika w ogóle nie było widać z ulicy.

Sharley wyciągnęła klucze. Znalazła ten od furtki, nie od głównego wejścia. Furtka w ciągu ostatnich kilku lat rzadko była używana. Wiodła od niej najkrótsza droga do domku ogrodnika, prostego, lecz solidnego domku, który ciotka Charlotta i wuj Martin wspaniałomyślnie odnawiali dla nowożeńców.

Będę tam mogła zostawić prezent od Amy, nie narażając się na ryzyko tłumaczenia, co przyniosłam, cioci Charlocie, pomyślała Sharley.

Gdyby Charlotta, kochana, ale staroświecka dusza, zobaczyła te czarne koronki, byłaby niewątpliwie zgorzonna. A gdyby Sharley weszła głównym wejściem, po prostu nie mogłaby paczuski jej nie pokazać. Ciocia bowiem, sama się czuła niemal jak panna młoda, dzieląc z Sharley radość płynącą ze wszystkich przygotowań, planów i podarunków.

Poza tym, wstępując do domku ogrodnika, Sharley mogła sprawdzić, czy została przywieziona, tak jak obiecywano, reszta rzeczy. A co najważniejsze, mógł tam być Spencer. Powiedział, że po pracy podrzuci do domku trochę rzeczy ze swojego mieszkania, skoro stolarze i malarze skończyli już robotę.

Sama myśl o Spenie wywołała rumieńce na jej twarzy. Może znajdą chwilkę dla siebie. Oczywiście, już w następnym tygodniu będą mieli wszystkie dni i noce dla siebie. Ale ta świadomość nie wystarczała jej dziś. To nie to, że chciała zazdrośnie mieć go tylko dla siebie, że niechętnie dzieliła się nim z resztą świata. Ale tyle było ostatnio różnych spraw, i na nic nie było czasu. Jakby to było miło usiąść na ich nowiutkiej kanapie, wtulić się w jego ramiona i pogwarzyć przez chwilę... Albo nic nie mówić, pomyślała, z rozmarzeniem wspominając, jak ją całował wczoraj na dobranoc.

Domek ogrodnika, podobnie jak duży dom, był niski i zbudowany z szarej cegły. To co się rzucało w oczy, to okno w wykuszu i frontowe drzwi, ciemnoczerwone, pachnące jeszcze świeżą farbą. A na drzwiach skrzynka na listy.

Nikt z tej skrzynki nie korzystał, wisiała tam raczej dla ozdoby. Ponieważ brama do rezydencji była zawsze zamknięta, prawdziwa skrzynka wisiała przy głównym wejściu, a na tej tutaj, w dniu, kiedy ona i Spen po raz pierwszy razem oglądali domek, pełno było pajęczyn. Może dlatego przyszła jej do głowy zabawna myśl, żeby używać tej skrzynki na prywatne liściki.

Niestety, i teraz tkwił w niej liścik. Wprawdzie lubiła listy od Spena, zawsze urocze i dowcipne, ale dziś wolałaby zobaczyć jego samego. Liścik znaczył chyba, że on już sobie poszedł. Musiał wcześniej skończyć pracę. Ach, dlaczego tak się grzebała z planem lekcji.

Włożyła kopertę do kieszeni płaszcza i otworzyła drzwi. Weszła przez mały hol do przytulnego pokoju.

Zobaczyła tył głowy Spencera. Siedział na ich nowiutkiej kanapie. To bez wątplenia były jego włosy, ciemne, niesforne, i jego arystokratyczny kształt głowy...

Ale na jego ramieniu – Boże! – leżało pasmo długich, lśniących, czarnych włosów kobiecych! Sharley już otworzyła usta, lecz coś ją poczęło dławić w gardle. Kiedy tak stała sparaliżowana, niezdolna wydobyć słowa, Spencer nagle powiedział:

– To nie może dłużej tak trwać, Wendy – głos jego brzmiał nisko, ochryple.

Imię nie było niespodzianką. Sharley rozpoznała te wspaniałe czarne włosy. Niecałą godzinę temu widziała je wszak na fotografii. To bez wątplenia była sekretarka Spencera.

„Ona ci nie przeszkadza?” – zapytała dziś po południu Amy. Pytanie brzmiało beztrusko, ale czy takie było? Sharley czuła, jak krew łomocze jej w skroniach. Czy Amy coś wiedziała? Albo czy coś podejrzewała? Może wszyscy w Hammond’s Point wiedzieli, że Spencer Greenfield romansuje ze swoją sekretarką? Wszyscy, prócz niej, Sharley!

Udało jej się wykrztusić:

– Dostałam twój list.

Spencer skoczył na równe nogi i obrócił ku niej twarz.

Sharley przyglądała mu się uważnie. Nie miał na sobie marynarki ani krawatu. Kołnierzyk koszuli był rozchylony, rękawy zawinięte. Zbladł jak płótno. Dołek w jego brodzie wydał się jeszcze głębszy. Ale przystojny był jak zawsze, i piękne były, jak zawsze, jego duże szare oczy.

Tylko nie było w nich zwykłych błysków wesołości.

Postąpiła krok do przodu, położyła rękę na gładkiej skórze kanapy i spojrzała

na Wendy Taylor. Wendy miała na sobie czerwony, jedwabny szlafrok, i najwidoczniej nic więcej.

Przynajmniej dobrze, że nie mój, pomyślała Sharley.

Znów spojrzała na Spencera.

– Myślałeś, zostawiając list w skrzynce, że pójde od razu do domu i nie wejdę tutaj?

– Sharley – powiedział głucho, jakby coś dźgnęło go bardzo mocno między zębra.

Pierwszy szok minął. Sharley krzyknęła z furją:

– Cholera! Spencer! W naszym własnym domu?! Na naszej własnej kanapie!

– Sharley, proszę cię... Muszę to wytłumaczyć...

Wendy chwyciła go za rękaw.

– Nie, nie możesz, Spen! – Paniczny strach malował się na jej twarzy.

Spojrzał tylko na nią i przygryzł wargi.

– Jak widzę, różnica zdań – powiedziała Sharley z kwaśną słodyczą. – I, niestety, muszę zgodzić się z Wendy... nie bardzo wiem, jak mógłbyś mi to wyjaśnić. No, ale proszę, słucham!

Spencer milczał. Przestępował z nogi na nogę, chrząknął, ale milczał.

– Zupełnie nic nie masz mi do powiedzenia? Wcale mnie to nie dziwi! – Odwróciła się, podeszła do drzwi, trzasnęła nimi i pobiegła ścieżką do domu.

Rzuciła w holu płaszcz i torebkę. Jednym susem znalazła się w rozświetlonym salonie.

Obok, z werandy, dobiegł głos ciotki Charlotty:

– Sharley, kochanie, dama nie trzaska drzwiami.

Nie była w stanie wyjaśnić ciotce swego zachowania.

Byle tylko znaleźć się w swoim pokoju. Byle mogła to przemyśleć, zanim się spotka z kimkolwiek.

Niestety, nie dany był jej ten luksus. Nagle frontowe drzwi otwały się szeroko i Spencer zawołał, ciężko oddychając:

– Do pioruna, Sharley, nawet mnie nie chcesz wysłuchać?!

Sharley obróciła się i spojrzała na niego. Włosy miał rozwichrzone. Od wiatru? A może to Wendy wplątała mu palce we włosy, aby zatrzymać przy sobie?

– Zdążyłeś już coś wymyślić? Sądziłam, że jeszcze klócisz się z Wendy, czy powinieneś się wytłumaczyć przede mną, czy też nie?!

Spencer pocierał sobie kark.

– Nie wiem, u diabła, jak możesz myśleć, że uwierzę w twoją niewinność! Ja

wiem, co widziałam!

Charlotta Hudson weszła z werandy do pokoju. Opierała się ciężko na hebanowej lasce.

– Sharley, kochanie – powiedziała surowo – jakim tonem ty mówisz? Muszę zaprotestować. Mówisz jak przekupka! Dama tak nie mówi.

– Bez względu na okoliczności, ciociu Charlottto?

Dostrzegła przerażenie w oczach Spencera.

– Myślę, że jesteś zadowolony, że cię nie złapałam z nią w łóżku. W naszym łóżku. Zresztą to byłoby niemożliwe, bo łóżka nam jeszcze nie przywieźli, prawda?

Charlotta położyła rękę na skroni i tylko ciężko westchnęła. Sharley przeraziła się, że zapomniała przez chwilę o kruchym zdrowiu ciotki. Zawołała gosposię. Libby zjawiała się natychmiast. Na pewno podsłuchiwała pod drzwiami.

Gosposia pomogła Charlottcie dotrzeć do sofy. Ciotka opadła na poduszki, szepcząc:

– Martin! Proszę, niech przyjdzie Martin. Jest gdzieś w ogrodzie.

Ale Martin Hudson właśnie wszedł do salonu. Miał na sobie stary ogrodniczy kombinezon, a na głowie pomięty rybacki kapelusz. Pochylił się nad żoną i wziął jej wiotką dłoń w swoje ręce.

– Już, już, Charlottto – mruczał. – Nie dręcz się tak. Weź głęboki oddech. Odpręż się...

Charlotta jest naprawdę załamana, pomyślała Sharley. Nawet nie upomniała wuja, żeby zdjął w domu kapelusz.

Zawstydziała się, że myśli o ciotce w ten sposób. Oczywiście, że może być roztrzęsiona. Ma do tego wystarczający powód. I ma rację – przynajmniej w jednej sprawie – wrzask nie jest sposobem na rozwiązywanie problemów.

Spencer ciągle stał w drzwiach wiodących do salonu.

– No, słucham – powiedziała Sharley – wyjaśnij!

Spencer spojrział na nią, a potem na parę starych ludzi.

Ciche błaganie biło z jego oczu, kiedy znów zwrócił spojrzenie na Sharley.

– Oni nie znają szczegółów – powiedziała – ale wobec tego, co zaszło, musimy przez to przebrnąć, Spencer. Nie mogę cię uchronić przed tym, nawet gdybym chciała. Musisz to wyjaśnić, zaraz, teraz. Proszę, powiedz, co robiłeś w naszym domu z na wpół rozebraną kobietą?

Jej głos drżał. Z trudem łąpała oddech. Czy mogło tu być jakieś wyjaśnienie? Półnaga Wendy w ich domku! I jeszcze to, co do niej powiedział!

Spencer spojrział znów na Martina i Charlotte, i zbliżył się o krok do Sharley.

Był blady. Jego twarz wyglądała jak kamienna maska.

– Zaufaj mi, Sharley. To nie jest tak, jak myślisz.

I to było wszystko.

Czekała jeszcze chwilę. Wuj Martin wachlował twarz żony gazetą, gosposia wybiegła po szklankę wody. Stało się oczywiste, że Spencer powiedział wszystko, co zamierzał. Sharley zebrała wszystkie siły, żeby się opanować. Powiedziała spokojnie:

– To jest to, co nazywasz wytłumaczeniem? Tylko: „Zaufaj mi, Sharley”.

– Tylko to mogę ci powiedzieć. – Spencer nie poruszył się.

– I twierdzisz, że nie jest tak, jak myślę. Czyż nie tak mówi każdy mężczyzna złapany na gorącym uczynku? Spodziewałam się po tobie czegoś bardziej pomysłowego, Spen.

Wydawało się, że nie może już stać się bledszy, a jednak zbladł jeszcze bardziej.

– Czy ty mnie kochasz, Sharley? – jego głos drżał.

Oczywiście, że go kochała. Przecież go chciała poślubić.

Zwilżyła wargi.

– A co to ma z tym wspólnego?

– Gdyby ci na mnie zależało...

– Tobo nie miało znaczenia, co robisz? – Czują, że traci panowanie i wzbiera w niej wściekłość.

– Gdybyś mnie naprawdę kochała, wystarczyłoby ci moje słowo.

– Gdybym cię naprawdę kochała? Jak śmiesz tak mówić, jakbym to ja ciebie zawiodła? – zagryzła wargi prawie do krwi. – Ale masz rację. Jeśli nie możesz się – wytłumaczyć, to nie sądzę, żebym cię dość kochała, aby polegać tylko na twoim słowie.

– Więc lepiej będzie skończyć z tym zaraz, prawda? – Oczy błyszczały mu jak stal.

– Oczywiście.

Sharley ściągnęła z palca pierścionek z brylantem. Pierścionek, z którego była tak dumna, kiedy wsuwał go na jej palec. Spencer nie poruszył się, żeby sięgnąć po niego. Upuściła pierścionek na marmurowy stolik. Brzęknął lekko.

Poczekał, aż się odwróciła. Podeszedł do stolika i wrzucił pierścionek do kieszonki koszuli.

– Nie musisz odprowadzać mnie do drzwi – powiedział szorstko. – Sam znajdę sobie wyjście.

Zanim Sharley odwróciła się, żeby mu się odciąć, już wyszedł.

I bardzo dobrze, pomyślała, przecież nie zostało już nic, co by warto było powiedzieć.

Rozdział 2

Odgłos zatrzaśniętych drzwi rezonował jeszcze w powietrzu. Sharley wydawało się, że i okna zadrżały.

Martin drgnął na ten dźwięk i spojrzał surowo na Sharley.

– Co tu się dzieje, u diabła?!

– Martin, proszę cię, panuj nad językiem – powiedziała Charlotta.

Sharley przyklękła przy sofie.

– Tak mi przykro, ciociu. Naprawdę, nie chciałam cię denerwować. – Wzięła głęboki oddech. – Niestety, szok był zbyt wielki.

– Co za szok? – zapytał Martin z irytacją.

– Zastała Spencera z kobietą w dwuznacznej sytuacji – powiedziała Charlotta. – Co się z tobą dzieje, Martin? Nie słyszałeś? – Uniosła szczupłą, białą dłoń i pogłaskała Sharley po policzku. – Rozumiem cię, kochanie. Oczywiście, że byłaś wstrząśnięta.

– Jestem pewien, że to musi mieć jakieś wytłumaczenie – oświadczył Martin.

– Nie bądź naiwny. Jakie tu może być wytłumaczenie? – Charlotta poruszyła się niespokojnie. – Czy mógłbyś mi pomóc usiąść?

Mąż jakby jej nie słyszał.

– Spencer? Z kobietą? Sharley, jak ochłoniecie, to wszystko może się okazać głupim nieporozumieniem.

– Nie bądź śmieszny! Sharley nie mogła postąpić inaczej! Musiała odprawić tego młodego człowieka! Nie mów głupstw!

– Ależ, Charlotto, oni nawet o tym nie porozmawiali!

Sharley nie mogła uwierzyć w to, co słyszała. Ona zastała swego narzeczonego w ramionach innej kobiety, a Martin i Charlotta kłóć się! Jej narzeczeństwo się rozpadło, wesele trzeba będzie odwołać, a oni...

Zaczęła drżeć na myśl, że cały ciężar tego, co się stało, musi wziąć na siebie. Trzeba odwołać ślub i wesele...

Martin objął Sharley ze współczuciem.

– Przemyśl to dobrze, kochanie, i nie wyciągaj pośpiesznie wniosków. Usiądziemy sobie tu, porozmawiamy, a jak się już uspokoisz, zadzwonię do Spencera i powiem, żeby przyszedł.

– Proszę – szepnęła Sharley z rozpaczą. – Doceniam twoją troskę, wujku, ale ja naprawdę chciałabym być teraz sama.

Martin poczuł się dotknięty.

Charlotta usiłowała zająć wygodną pozycję na sofie.

– Oczywiście, kochanie. Idź i odpocznij. Przyślę ci Libby z czymś, co pomoże ci się zrelaksować.

Sharley nie odpowiedziała. Z trudem przeszła przez ogromny salon i po schodkach weszła do swojej sypialni. Zamknęła drzwi za sobą. Z westchnieniem ulgi rzuciła się na łóżko.

Oni chcieli dobrze, pomyślała. Nie mogą jednak zrozumieć, że są problemy, których rozwiązać się nie da.

Drżała tak bardzo, że opadając na łóżko, nie zwróciła uwagi na jedwabną narzutę. Teraz wyciągnęła pikowaną kołdrę i szczelnie się w nią owinęła. Niewiele to pomogło. – Czuję się tak, jakby była przemarznięta do szpiku kości.

Przecież Martin i Charlotta ją kochają. Ona to wie. Ale nie mieli własnych dzieci, ani żadnego doświadczenia, jakie większość rodziców zdobywa, kiedy ich dzieci dojrzewają. Nie wiedzieli, że czasem niepotrzebne są roztrząsania ani rady, ale serdeczne klepnięcie i ramię, na którym się można wypłakać.

Dość, pomyślała Sharley. Jeszcze trochę, a pogrążę się w takim rozczuleniu nad sobą, że zapragnę, abym się w ogóle nie urodziła.

Libby zastukała do drzwi i weszła z tacą, na której była szklanka wody i kilka tabletek. Sharley usiadła, wzięła wodę, ale odsunęła tabletki. Charlotta miała tyle najróżniejszych proszków na uspokojenie, na nerwy, na sen, że mogłaby otworzyć aptekę. Sharley zauważyła, że przysłała te najmocniejsze. Zmogłyby ją do rana, ale problemu nie rozwiążą.

– Nie myślę, żeby panienka tego potrzebowała – powiedziała Libby – ale pani Hudson nalegała.

– Tylko przespałabym mój ból do jutra.

– Czasem to nie jest najgorsze. Zostawię je na wszelki wypadek. A później przyniosę obiad.

– Nie, to tylko przysporzy ci pracy.

– Musi panienka jeść.

– Zejdę na dół – Sharley próbowała się uśmiechnąć. – Muszę się z tym kiedyś uporać. Mogę zacząć od razu, kiedy jestem taka otepiała.

– Dobrze, że panienka była już prawie dorosła, kiedy z nimi tu zamieszkała. Inaczej zamęczyliby panienkę swą czułością. Ja nie mówię, że to łatwe, ale panienka sama da sobie radę z tym wszystkim.

– Dziękuję, że wierzysz we mnie, – Panienka jest silna i bardzo rozsądna, panno

Sharley. Znajdzie panią własną drogę.

Sharley uśmiechnęła się z lekka i Libby wyszła. Jakież kontrast między drażniącą czułością ciotki, a bezceremonialnością Libby. Ileż w tym ironicznego humoru! Spencer by to docenił, pomyślała półprzytomnie, muszę mu to opowiedzieć.

Rzeczywistość wróciła gwałtownym bólem. Przecież pewnie już nigdy nic mu nie opowie... Spen, pomyślała, jak mogłeś mi to zrobić?

Jeśli było jakieś rozsądne wytłumaczenie, dlaczego nie wyjaśnił tego od razu, w ich domu? Z drugiej strony, jeśli nie było wytłumaczenia, to dlaczego pobiegł za nią? A jeśli było, dlaczego nie podał go wtedy? Dlaczego powiedział tylko: „Zaufaj mi, Sharley”...

Do diabła! To śmieszne – torturować się w ten sposób! Gdyby było jakieś usprawiedliwienie dla jego zachowania, toby je podał. Jeśli nie podał, to znaczy, że nie ma usprawiedliwienia. To proste.

Jedno jest pewne. Postępował i mówił jak człowiek absolutnie winny. A jednak udało mu się wywołać wrażenie, że to ona, Sharley, jest winna.

Usiłowała zrzucić z siebie dręczące poczucie winy. To jest zupełnie irracjonalne, mówiła sobie, Spencer złapany nieomal na gorącym uczynku, żeby usprawiedliwić siebie, zwała winę na kogoś innego. Gdyby Sharley nie weszła, nie byłoby problemu. A więc to jej wina.

Z drugiej strony, powiedział Wendy, że romans ich musi się skończyć. Może więc naprawdę czuł, że ta sprawa nie dotyczy Sharley.

Ale to jest tak niepodobne do Spencera. On nie jest kimś, kto unika odpowiedzialności, ucieka od trudnych sytuacji. Spencer Greenfield, którego znała... Ale... – zapytała siebie ostro – czy ja naprawdę znam Spencera?

Libby wyczekała do ostatniej chwili, nim zapukała do drzwi Sharley, mówiąc, że obiad już podany. Kiedy Sharley weszła do jadalni, Charlotta i Martin siedzieli już przy stole. Wyczuła, że mówili o niej, bo rozmowa urwała się nagle.

– Właśnie mówiłem Charlotcie – zaczął Martin – że krokusy już wzeszły i że żonkile już się przebijają.

Poczciwy wujek. Usiłuje łagodzić sytuację, pomyślała Sharley i uśmiechnęła się do niego.

Wszyscy jedli niewiele. Sharley odłożyła łyżkę.

– Jeśli nie macie nic przeciwko temu – powiedziała spokojnie – myślę, że lepiej, abyśmy mieli ten temat za sobą. Wiem, że mniej więcej wiecie, co się wydarzyło dziś po południu, ale może powinnam powiedzieć wam, że Spencer był

tutaj w domku...

– Właśnie tu, w naszej posiadłości? – zapytała surowo Charlotta.

Sharley przytaknęła.

– A ta kobieta... – przerwała jednak.

Jeśli Martin usłyszy jej imię, Wendy Taylor bez wątpienia jutro rano straci pracę. Ale nawet gdyby chciała osłaniać Wendy, nie uda się w żaden sposób ukryć tego faktu. Hammond's Point jest zbyt małym miastem, żeby utrzymać sekret tego kalibru. Charlotta nie ustanie, zanim nie dowie się, co to za kobieta była przyczyną wszystkiego, i wtedy natychmiast powie to Martinowi. Więc nie ma znaczenia, czy Sharley będzie milczała, czy nie. Nie byłoby dziwne, gdyby połowa miasta już wiedziała, co się stało. Lepiej więc powiedzieć teraz prawdę Charlotcie, niż żeby pytała swoje brydżowe przyjaciółki, które złośliwie mogłyby się cieszyć, mówiąc ze współczującym podtekstem oczywiście, o krótkowzroczności Sharley. Także Martinowi lepiej powiedzieć wszystko teraz, niż pozwolić, aby usłyszał o tym od kumpli, z którymi gra w golfa. Utkwiła więc wzrok w talerzu i powiedziała cicho:

– Ta kobieta to jego sekretarka.

– Wendy Taylor?! – wykrzyknęła Charlotta. – To dziewczyszko? A nie mówiłam ci, że z niej nic dobrego, Martinie? Ale Spencer mnie zdumiewa. Narazić swoją pozycję w firmie, mając takie wspaniałe perspektywy!

To była strona równania, na którą Sharley jeszcze nie spojrzała. To, że Spencer wplątał się w romans z inną kobietą było dostatecznie złe, zdawała się mówić Charlotta, ale żeby jeszcze psuć sobie pozycję w pracy, to czyste szaleństwo.

Spojrzała na Martina. Jego normalnie rumiane policzki były blade i pierwszy raz, odkąd go znała, głos jego zabrzmiał jak głos starca.

– Pomówię ze Spencerem jutro rano – powiedział na w pół do siebie.

Sharley zrobiło się bardzo przykro. Wydało jej się, że wujostwu nie chodzi o nią, o jej zerwane zaręczyny, zniweczone małżeństwo, ale o to, że firmie Hudson Products zagroziły takie komplikacje. Martin planował, że Spencer przejmie po nim firmę. I co teraz? Poza tym Martin kochał Spencera jak syna, którego nigdy nie miał, pomyślała Sharley.

Ale właściwie co to ją obchodzi, jakie konsekwencje poniesie Wendy, albo czy Spencer straci pracę, czy nie. Dlaczego miałaby się tym martwić? – pytała siebie. Wszystko, co mogła zrobić, to powiedzieć prawdę. To nie ona była winna. To Spencer.

Mimo tych myśli, nie było jej ani trochę lżej. Przeciwnie, miała wciąż jakby uczucie mdłości.

Libby zabrała talerze z niemal nie tkniętą zupą. Wniosła drugie danie. Sharley spojrzała na porcelanowy półmisek, a na nim kotleciki jagnięce obłożone różnokolorowymi jarzynami.

Charlotta podniosła nóż i widelec.

– Jestem bardzo rozczarowana – powiedziała. – Sądziłam, że Spencer jest nieco bardziej stateczny. Chociaż może to i nic dziwnego, skoro jego ojciec był tym, kim był...

– To śmieszne – przerwał Martin. – John Greenfield był głupcem, ale to nie znaczy, że Spen ma być taki sam.

– John Greenfield był także oszustem i kłamcą – powiedziała Charlotta szorstko. – Umiałby nawet diabła oczarować swoimi historyjkami. Mów co chcesz, Martinie, istnieje coś takiego, jak obciążenie dziedziczne. Może i dobrze, że to wyszło na jaw już teraz, zanim...

Przerwała, ale było jasne, że myślała: zanim następne pokolenie przyjmie tę dziedziczną skazę.

Sharley przymknęła oczy na chwilę, próbując opanować ostry ból, który przeszywał jej ciało.

– Przepraszam, ciociu, wybacz mi, nie myślę, żebym...

– Wstała i odsunęła swoje krzesło.

Kiedy opuszczała jadalnię, usłyszała jeszcze jak Charlotta dodała:

– W każdym razie, Martinie, kiedy kobieta wnosi pieniądze w małżeństwo, ma prawo panować nad sytuacją. Jakim by tam nie był, Spencer nie jest zbyt mądry, skoro nie zdaje sobie z tego sprawy.

Sharley potknęła się na stopniu do swojego pokoju. Kiedy kobieta wnosi pieniądze...

– O nie – szepnęła. – Wielki Boże, tylko nie to...

Sharley nie myślała o tym, ale przecież wiedziała, że Martin i Charlotta zamierzali obdarzyć ją swoim majątkiem. Jeszcze zanim jej rodzice umarli, chociaż otwarcie się o tym nie mówiło. Była ich jedyną siostrzenicą. A kiedy już zamieszkała z nimi, łożyli na jej utrzymanie, płacili za wykształcenie w drogim college'u. Kupili jej auto. Spełniali każdą jej zachciankę.

Od czasu do czasu wujek rozmawiał z nią o bezpiecznych lokatach kapitału i o dywidendach, a ciotka wprowadzała ją do charytatywnych instytucji i pouczała o odpowiedzialności ludzi bogatych wobec społeczeństwa.

Ale nigdy nie było mowy o testamencie. Sharley mogła przypuszczać, że Hudsonowie zapiszą większość swoich pieniędzy na cele dobroczynne, które przez

całe lata tak hojnie wspierali. I w zupełności to akceptowała. Uważała, że dla niej zrobili i tak bardzo dużo. Przygotowali ją do życia. Stworzyli jej dom.

A może była naiwna. Może mieli zamiar zostawić jej każdy grosz, który posiadali. I może to dlatego Spencer Greenfield tak nagle się nią zainteresował?

Prawie całe sobotnie popołudnie Sharley spędziła przy telefonie. Likwidowała przygotowania do ślubu. Karetą, kwiaty, organista, klub... Wszyscy byli tak zaskoczeni, że nalegali, aby jeszcze raz powtórzyła odwołanie. Powtarzając w nieskończoność te same zdania, nie mogła przestać myśleć, że miała to popołudnie spędzić ze Spenem, grać z nim w golfa, rozpakowywać w ich domku ślubne prezenty...

Połykała łyżę. Zrobiła sobie filiżankę herbaty z miodem, żeby złagodzić ból gardła. Potem spisała długą listę już zaproszonych gości. Trzeba ich zawiadomić, że ślub się nie odbędzie.

Martin zajrzał do niej.

– Chodź ze mną do ogrodu, na chwilę – poprosił.

– Dziękuję, wujku, ale nie jestem dziś w nastroju, żeby się cieszyć krokusami.

– Rozmawiałem z nim... – powiedział i przerwał.

– Domyślam się, że tobie też nie dał żadnych wyjaśnień. Czy wuj w końcu zrozumiał, że nie jest to żadne głupie nieporozumienie?

Martin wyglądał żałośnie. Sharley zawstydziała się.

– Przepraszam, wiem, że chciałeś pomóc...

– Gdybyś tylko z nim porozmawiała, Sharley...

– To znaczy, nie przekonałeś go, aby zrobił pierwszy krok. I chcesz, żebym ja go zrobiła? Wujku, przecież w gruncie rzeczy Spencer mnie porzucił. Mógł się wytłumaczyć wczoraj, ale nie chciał.

Martin otworzył usta i znów je zamknął. Jak ryba na piasku. Sharley objęła go za szyję i wtuliła głowę w jego ramię.

– Strasznie mi przykro. Tyle zrobiliście dla mnie, ty i ciocia, a ja się tak odwdzięczam... Ale to nie ja nie chcę z nim rozmawiać, to on nie pali się do rozmowy ze mną.

– Straszna głupota... – wykrztusił Martin. Sharley otarła łyżę.

– Z czyjej strony? Z mojej, czy z jego? Martin westchnął głęboko.

– Sharley... – powiedział tylko.

Sharley poszła do kuchni zaparzyć sobie jeszcze jedną herbatę. Przechodząc przez hol, usłyszała głosy z salonu. Ciotka Charlotta miała gości. Zobaczyła ją i

zawołała:

– Chodź do nas, kochanie.

– Dobry wieczór – przywitała się Sharley. – Dziękuję, ale mam jeszcze tyle telefonów do załatwienia. Idę do kuchni po herbatę.

– To powiedz Libby, żeby podała nam kawę. Sharley usłyszała za sobą szept jednej z pań:

– Biedactwo, jaka ona jest dzielna...

– Cieszę się, że będzie miała małe wakacje. Odetchnie od szkoły.

Jakby to mogło pomóc, pomyślała Sharley. Będzie tylko więcej czasu na myślenie. Trzeba będzie zapomnieć, że te dni miała spędzić ze Spenem w Nassau, na plaży...

W kuchni Libby, przygotowując kawę, mruknęła coś ze złością o plotkujących paniach.

– To są przyjaciółki cioci. Nie mogę mieć im za złe, że są ciekawe – westchnęła Sharley. – Wiesz, Libby, boję się tych wiosennych ferii – wyznała po chwili.

– Może powinna panienka polecieć na Wyspy Bahama. Ze ślubem czy bez ślubu, może panienka spędzić przyjemnie czas.

Poszła z kawą do salonu. Sharley zrobiła sobie herbatę. Miodowy miesiąc w pojedynkę, pomyślała z ironią, pomysł farsowy, trzeba przyznać.

Wróciła do swego pokoju, znów zaczęła telefonować i zapomniała o tym zwariowanym pomysle.

Jednak Martin i Charlotta musieli to przedyskutować, bo przy obiedzie poruszyli ten temat.

– Bardzo sensowny pomysł, Sharley – przekonywała ciotka.

– Co? Spędzić miesiąc miodowy w pojedynkę?

– Czemu nie? Jest za późno, żeby skasować rezerwację, więc możesz przynajmniej coś z tego mieć. To jest prezent od Martina i ode mnie dla ciebie.

– To był prezent dla nas! – burknęła Sharley.

– Dlaczego marnować dobre wakacje? – nie dawała za wygraną Charlotta.

– Och, ciociu! Zakładasz, że poderwę pierwszego przystojnego mężczyznę na plaży?!

– Ależ skąd? – Głos Charlotty stał się lodowaty.

– Przepraszam. – Sharley przygryzła wargi.

Mimo wysiłków Martina, atmosfera pozostała chłodna. Sharley niemal z zadowoleniem przypomniała wujostwu, że powinna już pójść do szkoły, pomagać w serwowaniu deserów na stypendialnej fecie.

I pomyśleć, jestem właściwie zadowolona, że się wystawiam na widok publiczny. Im prędzej, tym lepiej, powiedziała do siebie. Plotka w takim małym mieście rozprzestrzenia się błyskawicznie. Ale bardzo źle się stało, że nie uzgodnili ze Spencerem wersji rozstania. To by pomogło obojgu zachować godność. Nie chciała kłamać, ale wolałaby, aby żadne szczegóły nie rozniosły się po Hammond's Point.

Poza wszystkim, pomyślała, oboje przecież będziemy musieli żyć tu nadal.

Spotkanie nie wypadło tak źle, jak przypuszczała. Wprawdzie było aż za dużo współczujących spojrzeń i czasem dziwne komentarze, ale tylko jedna kobieta zapytała wprost, dlaczego zaręczyny zostały zerwane. Sharley powtórzyła automatycznie to, co wiele razy mówiła przez telefon:

– Spencer i ja doszliśmy do wniosku, że nie pasujemy do siebie.

– Naprawdę? – nalegała kobieta. – Musi być jeszcze chyba coś więcej.

– Jak to miło, że panią tak to obchodzi – powiedziała oschle.

Właśnie Amy Howell podeszła do niej z filiżanką kawy.

– Teraz, kiedy już tłum się przewalił, możemy omówić plan lekcji na następny tydzień, Sharley. – Uśmiechnęła się słodko do natarczywej kobiety, która tylko parsknęła na to i szybko odeszła.

– Dziękuję – szepnęła Sharley. – To było prawie tak skuteczne, jak danie jej kopniaka.

– Co właśnie miałam ochotę zrobić. Sharley... Jak się czujesz?

Nie muszę niczego udawać przed Amy, pomyślała Sharley z ulgą.

– Jakby grom z jasnego nieba spadł i rąbnął mnie prosto w głowę – powiedziała.

– Nie mogłam uwierzyć, kiedy zadzwoniłaś.

– Czy wiedziałaś już o Wendy, kiedy zapytałaś wczoraj, czy mi nie przeszkadza, że jest sekretarką Spencera?

Amy potrząsnęła głową.

– Nic a nic, przysięgam. Masz zamiar przyjść w poniedziałek do szkoły?

– Oczywiście, czemu miałabym nie przyjść?

– Zastanawiam się, czy twoje nerwy wytrzymają taki stres.

– Szczerze mówiąc, taki stres dobrze mi robi. Kiedy będę z dziećmi, nie będzie czasu na myślenie. Raczej boję się marcowych ferii.

– Gdybyś jednak nie dała rady, wywieś białą flagę. Zabiorę twoje dzieciaki na gry matematyczne i będziesz mogła się pozbierać.

– Kochana jesteś, Amy.

– A co do ferii, nie jest jeszcze za późno, żebyś dołączyła do naszej narciarskiej eskapady.

– To bardzo ładnie, że o tym pomyślałaś, ale nie chcę się narzucać.

– Skądże znowu?! Pojedziemy do Kolorado. Wynajmiemy chałupę. Zmieści się jeszcze jedna osoba bez problemu. Musisz tylko zabrać śpiwór.

– Dziękuję, Amy, ale nie. Jeszcze bym zwichnęła nogę i do końca roku kużykała.

– Przyjaciółka odsunęła się, bo starszy pan podszedł do stołu. Sharley ukroiła kawałek tortu ozdobionego owocami kiwi i podała talerzyk z uśmiechem.

Amy wzruszyła ramionami.

– Ostatecznie zwichnięta noga to bardzo dobra wymówka, żeby nic nie robić i...

Sharley nie usłyszała dalszych słów Amy. Kiedy starszy pan odszedł ze swoim tortem, zobaczyła w drzwiach Spena. Zesztywniała, jakby ktoś wsadził jej nóż między żebra.

Boże mój, jak ja za nim tęsknię, pomyślała. A to dopiero jeden dzień...

W ciemnym garniturze wyglądał jakby szczupłej. Sharley przywykła widzieć go w swetrze lub w sportowym ubraniu, i ten kontrast sprawił, że miała uczucie, jakby go dawno, dawno nie widziała. Jego oczy wydały się głębsze i jeszcze bardziej świetliste. A może powodem tej zmiany nie był kolor garnituru, ale kobieta, która stała obok niego? Wendy Taylor jedną ręką dotykała rękawa Spencera, w drugiej trzymała małą, czarną, welwetową torebkę, świetnie pasującą do jej koktajlowej sukni. Patrzyła wprost na Sharley, nie z triumfem, ale prawie ze współczuciem.

Gniew przeniknął Sharley jak ogień przez każdą komórkę jej ciała. Czyż nie mógł mieć na tyle przyzwoitości, aby poczekać przynajmniej kilka dni, zanim zacznie afiszować się z Wendy? Przynajmniej, zanim przestaną o nich mówić? Tylko Sharley, Spencer i Wendy znali szczegóły. Tylko oni powinni je znać, no, chyba że Spencer chce jeszcze podsycić plotki.

Miała ochotę chwycić kawałek tortu z kremem i cisnąć nim Spencerowi prosto w twarz.

– Gdybyś jednak zmieniła zamiar co do narciarskiej wycieczki, daj mi znać – powiedziała Amy.

Wydawało się, że te słowa płyną gdzieś z bardzo daleka. Sharley potrząsnęła głową. Jej głos zabrzmiał czysto i dźwięcznie.

– Ja już zdecydowałam, jak spędzę ferie. Mam zamiar mimo wszystko pojechać

na Wyspy Bahama.

Wszyscy wokół usłyszeli jej słowa. Szmer zdumienia przeszedł przez salę, a potem zapanowała cisza.

– Sama? – zapytała Amy sceptycznie.

– Oczywiście, że pojedę sama – powiedziała Sharley. Spojrzała wprost na Spencera. – Szczerze mówiąc, kochanie – uśmiechnęła się do Amy – w porównaniu do tego co planowałam, samotność będzie błogosławieństwem.

Rozdział 3

Pomysł był oczywiście szalony i Sharley wcale nie miała zamiaru go realizować. Porzucona narzeczona sama jedzie na miesiąc miodowy? To śmieszne. Gdyby nie współczujące spojrzenie Wendy, ten błysk w oku, który tak jasno zdał się mówić: ja go mam, a ty nie, to Sharley zachowałaby spokój i w ogóle by się nie odezwała.

Jednak, w miarę jak ferie się zbliżały, coraz częściej myślała o tym, czyby gdzieś nie wyjechać. Znaleźć się tam, gdzie nikt nie zna Spencera, gdzie nikt nie zapyta, dlaczego jest sama. A kiedy wróci do domu, może plotkarze w Hammond's Point znajdą już sobie inny żer.

W niedzielę, po porannym nabożeństwie, wśród długiej listy zapowiedzi zabrzmiało beznamiętne oświadczenie pastora:

– Ślub Sharley Collins ze Spencerem Greenfieldem, planowany na najbliższą sobotę, nie odbędzie się.

Szmer zdziwienia przebiegł przez świątynię. Poczowała przyśpieszone bicie serca, była bliska omdlenia. Spokojne oświadczenie pastora sprawiło, że to, co było nocnym koszmarem, stało się rzeczywistością.

Tak, musi wyjechać.

W środę, jedna z dziewczynek z jej klasy zapytała:

– Czy „zakazany owoc” to jabłko, gruszka, a może winogrono?

– Dlaczego o to pytasz?

– Dziewczynka wyznała:

– Moja mamusia powiedziała, że pani dlatego nie wyjdzie za męża, bo pani narzeczony nie mógł się powstrzymać od zakazanego owocu. A może to był banan, bo mamusia nie lubi, kiedy je pozeram. A może pomarańcza? Wolno mi zjeść tylko jedną na dzień. – Dziewczynka patrzyła zaciekawiona. – Czy on zjadł za dużo pomarańczy? Nie? To dlaczego nie chce pani wyjść za niego za męża?

Tak, pomyślała Sharley, uciec stąd, to najlepsze, co mogę zrobić.

Ale ostateczna decyzja zapadła dopiero w czwartek. Po szkole wstąpiła do domu towarowego, jednego z wielu miejsc, gdzie razem ze Spencerem składała zamówienia na ślubne upominki. Teraz powinna te zamówienia skasować i załatwić wszystkie związane z tym formalności. Było jej okropnie przykro. Stała i patrzyła przez szybę wystawową na przedmioty z porcelany, kryształu, srebra. Niektóre z nich miały trafić do ich domu. Przypomniała sobie, jak Spen powiedział,

że wszystko mu jedno, czy będzie jadł na cieniutkiej porcelanie, czy na papierowym talerzu, bo nie będzie patrzył na talerz, tylko na swoją żonę. Wtedy poczuła, że chyba jeszcze bardziej się w nim zakochała. A on wziął ją w ramiona, zapaliły mu się iskierki w oczach i całował ją, aż do utraty tchu, wśród tych kryształów i porcelany.

Dobrze, że ciocia Charlotta tego nie widziała, bo byłaby zgorzonna. Całować się w miejscu publicznym! To brak dobrych manier!

Z trudem oderwała się od tych myśli, otworzyła drzwi sklepu i... weszła wprost na Spencera.

Zachwiała się. Spencer wypuścił z rąk torbę, żeby ją podtrzymać. Przez chwilę była w jego ramionach. Trzymał ją za łokcie, dotknęła twarzą szorstkiego tweedu płaszcza. Mimo woli przymknęła oczy i z trudem łapała oddech. Poczowała zapach wody po goleniu. Zakręciło się jej w głowie. Pamięć tak niedawnych jeszcze pocałunków sprawiła, że się pod nią ugięły kolana.

Spencer zdawał się czytać w jej myślach, lecz upewniwszy się, że już mocno stanęła na nogach, odsunął się od niej.

Wyglądał teraz, jakby był wyrzeźbiony ze skały. Nie było ciepła w jego oczach ani uśmiechu w kącikach ust. Przygryzał wargi. Nigdy przedtem nie widziała w nim tak zimnego i twardego mężczyzny. Jeśli to sprawił epizod w domku ogrodnika...

Ta zmiana w nim... Czy to reakcja z powodu utraty kobiety, którą kochał? A może wściekłość na siebie, że stracił doskonałą okazję poślubienia fortuny? Albo złość na własną nieostrożność, że dał się złapać? Lub może nie mógł się uwolnić od wymagań Wendy? A może Martin ostatecznie doszedł do wniosku, że Hudson Products obejdują się bez Spencera Greenfielda?

– Jeżeli przyszedłś skasować zamówienia na prezenty – powiedział – nie kłopotz się tym. Ja już to zrobiłem.

Sharley skinęła głową, prawie go nie słysząc. Wyrwało jej się jednak pytanie:

– Czy wuj Martin cię zwolnił?

Oczy Spencera zwięziły się w dwie szparki.

– Nie, nie zwolnił. Twoja zemsta nie zna granic, Sharley?

Potrząsnęła głową.

– Nie, to znaczy nie dlatego zapytałam.

To nie było taktowne pytanie, przyznała w duchu, ale skoro nie został wyrzucony, dlaczego jest taki zimny i odpychający? Patrzył na nią przez chwilę, po czym schylił się po torbę.

– Nie chcę, żebyś stracił pracę, Spen.

Wydawało się, że nie słyszy.

– Wybacz mi, ale muszę już iść. – Zarzucił torbę na ramię.

Drzwi zamknęły się za nim. Sharley wróciła do samochodu. Dłuższą chwilę siedziała wstrząśnięta.

Przez kilka dni chodzenie do szkoły sprawiało jej pewną pociechę. To było miejsce, dokąd trzeba było pójść, myśleć o różnych innych rzeczach, nie tylko o własnym bólu, i aż się zmęczyć fizyczną aktywnością. Ale teraz miała przed sobą długi, pusty tydzień, te dni, które miały być najszcześniejszymi w jej życiu. Gdyby wychodziła na miasto, mogłaby się natknąć na Spencera za pierwszym rogiem. Gdyby siedziała w domu, to Charlotta nieustannie by się nią zajmowała, a chociaż kochała ciotkę, nie sądziła, by jej współczucie mogło stać się pociechą.

Tak czy inaczej, całe miasto będzie obserwować, jak się męczy w czasie, kiedy powinna przygotowywać wesele albo mierzyć tę piękną suknię z jedwabiu i koronek, lub witać swoje przyjaciółki na przedślubnym przyjęciu w klubie.

Tak, ucieczka od wszystkiego, to było najlepsze, co mogła zrobić.

Nie poleci na Wyspy Bahama. Samotność tam, gdzie mieli zacząć wspólne życie, nie przyniosłaby jej ulgi, a raczej dodatkową udramę. Ale są inne miejsca, do których mogłaby pojechać.

Prawda! Może pojechać do domku w lesie. Nikomu nie przyjdzie do głowy, żeby jej tam szukać. Leśny domek należał do Martina. Charlotta nie lubiła tego miejsca. Wujek rzadko nawet o nim wspominał, bo polowanie i łowienie ryb śmiertelnie ciotkę nudziło. Natomiast Sharley jako nastolatka czasami jeździła tam z Martinem. Wtedy lubiła to ustronne miejsce. Ale ostatnio zajęcia w szkole i różne rozrywki tak ją absorbowały, że nie starczało czasu na ów domek w lesie. I niemal zupełnie o nim zapomniała.

Ale tam, między sosnami, będzie mogła myśleć. Będzie mogła płakać, jeśli taką odczuje potrzebę. Będzie się mogła zastanowić nad wszystkim. I jeśli będzie sprzyjać jej szczęście, odnajdzie spokój.

Czuła się jak złoczyńca, ale nikomu nie powiedziała, dokąd jedzie. Charlotta ofiarowała się pomóc w wybraniu garderoby na Wyspy Bahama. Sharley z trudem udało się z tego wykręcić. Gdyby ciotka wiedziała, że jej siostrzenica wybiera się sama na leśne bezludzie, mogłaby znów dostać wylewu. Zatajenie przed nią prawdy było swego rodzaju dobrodziejstwem.

W piątek, kiedy pogoda okazała się fatalna, wytłumaczyła Charlotte, dlaczego rezygnuje z małego portu lotniczego w Hammond's Point. Kiedy spada śnieg, zdarza się, że samoloty w ogóle stamtąd nie startują. Pojedzie więc do portu w Minneapolis, zatrzyma się w pobliskim hotelu i zostawi swoje auto na długoterminowym parkingu przy lotnisku.

Charlotta nie protestowała.

Sharley, ledwie minęła granice miasta, od razu poczuła się lepiej. Do domku miała trzy godziny jazdy. Jechała wijącą się szosą, piękną nawet o tej porze roku. Wzięła kasety z muzyką. A Libby, żegnając się, wcisnęła jej koszyk pełen przysmaków.

Pomyślała, że we własnym towarzystwie wcale nie czuje się tak źle. Oczywiście, tęskniła za Spenem, kochała go mimo wszystko i wiedziała, że niełatwo będzie wyzbyć się tych uczuć, zapomnieć o marzeniach. Jej życie przez jakiś czas będzie puste. Ale musi przez najgorsze przejść. I w końcu to przewycięży.

Kiedy dojechała już do miasteczka, było późne popołudnie. Burza zbliżała się nieuchronnie. Niebo było nisko zawieszone i ciemne chmury kłębiły się groźnie. Właśnie kiedy zjechała z drogi do małego, wielobranżowego sklepu, krople deszczu zaczęły uderzać w przednią szybę z siłą spadających kamyków. Przeniknęło ją zimno. Wyskoczyła z samochodu i pośpiesznie weszła do środka.

Właścicielka, pulchna niewysoka kobieta w średnim wieku, ze zdziwieniem popatrzyła na Sharley.

– Co panią tu sprowadza w taką pogodę, panno Collins?

– Cóż, tutejszym mieszkańcom taka pogoda nie przeszkadza, prawda, pani Harper?

– To zależy – kobieta pociągnęła nosem. – Niektórzy z nas woleliby być raczej w Teksasie. Chyba nie ma pani zamiaru zatrzymać się w tym starym domku w lesie?

– Dlaczego nie? – Sharley wzruszyła ramionami. – Tam jest wszystko, czego potrzebuję. Czy mogę skorzystać z telefonu? W ostatniej chwili zdecydowałam się tu przyjechać i nie zdążyłam zawiadomić dozorca, żeby włączył ogrzewanie.

Pani Harper przesunęła telefon na ladzie.

– Zapomniałam zapytać wujka Martina, kto jest teraz dozorcą? Czy pani wie?

– Ciągle Joe Baxter. To wygodne, bo mieszka zaledwie kilometr od domku.

Ale telefon u Baxterów nie odpowiadał. Sharley się zasepiła. Czy poradzi sobie z podłączeniem pieca do butli gazowej? Poza tym, co z wodą? Musiała zostać

zakręcona na zimę. Bóg jeden wie, jakie jeszcze czekają ją trudności? Czy elektryczność włączona? Być może, pomyślała, przyjazd tu wcale nie był genialnym pomysłem...

Pani Harper spojrzała na frontowe okna. Krople deszczu waliły w szyby.

– Czy pani na pewno chce tam teraz jechać?

Sharley skinęła głową.

– No cóż, w takim razie radzę pani szybko wrócić do wozu. Ma pani jeszcze piętnaście minut jazdy, a nie wygląda, aby pogoda choć trochę się miała poprawić. Postaram się złapać Baxtera przez radio C. B. i przyślę go do pani.

– Dzięki – Sharley poczuła ulgę w sercu. – Pani jest kochana, pani Harper.

Za miasteczkiem była już głównie żwirówka, musiała więc jechać wolniej. Wiatr wiał tak mocno, że wóz czasami aż kołysał się od jego porywów. Strugi deszczu zalewały szybę. Wprost trudno było rozpoznać drogę. Nerwy miała napięte. Ale wreszcie wjechała na wąską dróżkę prowadzącą do domku.

Zatrzymała się na chwilę, szczęśliwa, że najgorsze ma już za sobą. Zdecydowała się postawić wóz na małym wzniesieniu z tyłu domku. Tam łatwiej będzie rozładować bagaże. Na razie wszystko zostawiła w aucie i w strugach deszczu pobiegła otworzyć drzwi. Klucz powoli, opornie obracał się w zamku. Widać, że dawno nie był używany. Kiedy Martin tu był? Zeszłej jesieni wcale tu nie przyjeżdżał, bo Charlotta chorowała.

We wnętrzu panował zaduch, ale było ciepło. Dotknęła pieca. Ciepły! Aż trudno w to uwierzyć.

– Dzięki ci, pani Harper, mój dobry duszku! – powiedziała głośno.

To był wprost cud! Ale jak jej się udało tak szybko znaleźć Baxtera?

Zanim rozładowała auto, zapadł zmierzch. Musiała biegać sześć razy. Po co tyle paczek? Ile może zjeść jedna osoba przez tydzień? Poza tym domek był lepiej zaopatrzony, niż przypuszczała. Sporo puszek stało na półkach we wnęce kuchennej, przylegającej do dużego pokoju.

Na małym ganku znalazła stąg suchego drewna.

Rozpaliła ogień w kominku i kiedy już huczał rozkosznie, zrobiła sobie sałatkę i omlet, usiadła przed kominkiem z talerzem na kolanach. Pierwszy raz od tygodnia coś jej naprawdę smakowało.

Była zbyt zmęczona, żeby czytać, i zbyt rozleniwiona, żeby wstać i zobaczyć, czym tu mogłaby się zająć. Odczuwała ogromną ulgę, że przez tydzień nie zobaczy żywej duszy.

Jak tu cudownie, przeszło jej przez myśl, i pogratulowała sobie wspaniałego

pomysłu. Gapiała się w płomienie, niemal zahipnotyzowana błyskami ognia i łagodnym syczeniem płonących szczap. Siedziała tak, aż ogień zaczął wygasać. Zasłoniła palenisko parawanikiem i poszła spać.

W domku były dwie sypialnie i mała łazienka między nimi. Sharley wybrała mniejszą, tę, w której sypiała w dzieciństwie. Było w niej bardzo chłodno. Piec w dużym pokoju był jedynym źródłem ciepła. Zęby jej zaczęły prawie szczebrać z zimna. Zostawiła drzwi do pokoju otwarte i przykryła się kilkoma kocami.

Sen nie przychodził. Nie udało się jej uciec od rozmyślania o tym, jak by spędziła ostatnią noc w swoim pokoju u wujostwa Hudsonów. Pewnie przymierzałaby cudowną białą suknię z jedwabiu i koronek...

Zupełnie zapomniała o swojej sukni. Krawcowa miała jeszcze zrobić ostatnie drobne poprawki. Teraz to oczywiście nie ma znaczenia. Rachunek już dawno został zapłacony. Co mogłaby z nią zrobić? Powiesić w szafie i oglądać raz do roku w rocznicę niedoszłego ślubu?

Dlaczego to się tak źle potoczyło? Sharley uważała zawsze, że zna się na ludzkich charakterach. Nie miała nigdy trudności z rozeznaniem uczniów, bardzo szybko wiedziała, z kim będą trudności. Więc dlaczego nie widziała wad Spencera? To prawda, nie spotykała się z nim dość długo. Wydawało się oczywiste, że wiedzą o sobie wszystko, co wiedzieć nawzajem powinni. Ale nawet w krótkim czasie, jaki minął od ich zaręczyn, mogły się objawić jakieś skazy. A ona nie widziała żadnych.

Znała Spena od zawsze, przynajmniej wiedziała kim jest. Był cztery lata starszy od niej. W mieście takim jak Hammond's Point wszyscy wiedzą wszystko o wszystkich. Był taki okres, że wszyscy mówili o jego ojcu, Johnie Greenfieldzie. Ten szanowany, godny zaufania makler nagle stracił opinię człowieka godnego zaufania. John Greenfield, kiedy śledztwo przeciw niemu się zakończyło i nadużycia okazały się pewne, kupił kawałek ogrodowego węża, wyjechał samochodem na jakąś opuszczoną drogę i począł wdychać tlenek węgla, kładąc tym kres wszystkiemu.

Tak, każdy w Hammond's Point wiedział, kim był Spencer Greenfield.

I żadna rozsądna kobieta, powiedziała sobie Sharley, przewracając się bezsennie pod kocami, nie zdziwiłaby się, gdyby się okazało, że Spencer jest podobny do swego ojca.

Ale choć usiłowała przypomnieć sobie wszystko, nie znajdowała nic, ani śladu nieuczciwości, dwuznaczności, żadnego powodu, żeby mu nie ufać.

Jeżeli Spencer był podobny do ojca, to dlaczego został w Hammond's Point?

Dlaczego się nie przeniósł do innego miasta, gdzie jego nazwisko nie kojarzyło się z niesławą?

Dawniej Sharley nie przychodziło do głowy, aby go o to zapytać. Była po prostu zadowolona, że został. Cieszyła się, że Martin znalazł sobie takiego dobrego wicedyrektora.

Przedtem rzadko widywała Spencera. Był starszy od niej, więc nie spotykała go w grupie swoich rówieśników, a poza tym wyjeżdżała z miasta do college'u, więc niewiele mieli okazji do spotkań. Lecz, odkąd zaczął pracować dla firmy Hudson Products, widywała go i w biurze, kiedy wpadała do wuja Martina, i w domu, kiedy zapraszany był na obiady, albo też wstępował z jakimś dokumentem lub czekiem do podpisu. Podobał jej się, był interesujący, jednakże nie pamiętała, kiedy zaczęła postrzegać go jako mężczyznę. Zapragnęła, aby i on dojrzał w niej kobietę, a nie tylko siostrzenicę Martina Hudsona. Tak, był bardzo atrakcyjnym, bardzo przystojnym, bardzo seksownym mężczyzną. Może zaczęła już o nim myśleć jesienią, ale naprawdę zaczęło się owego grudniowego wieczoru na przyjęciu w Hudson Products z okazji zbliżających się Świąt Bożego Narodzenia.

Charlotta nie czuła się wtedy jeszcze dobrze po przebytych jesienią zapaleniu płuc, ale chciała koniecznie wziąć udział w tym przyjęciu. Ani Sharley, ani Martin nie zdziwili się przeto, kiedy w połowie zabawy trzeba ją było zabrać do domu.

– Przykro mi, że muszę cię stąd wyciągnąć, Sharley – powiedział Martin, przerywając jej taniec – ale Charlotta jest tak wyczerpana, że jeżeli nie zabierzemy jej zaraz do domu, to w przyszłym tygodniu wyląduje w szpitalu.

Sharley przeprosiła swego partnera. Spencer zszedł z nimi do szatni i zapytał:

– Czy pani Hudson naprawdę potrzebuje także opieki Sharley?

– Nie, nie sędzę, ale... – Martin wydawał się zaskoczony.

– Więc może ja odprowadzę Sharley do domu?

Spojrzała na niego zdziwiona. Znakomicie mogłaby sama wrócić do domu, gdyby do tego doszło. Nie przyjechała wprawdzie wozem, ale miała mnóstwo przyjaciół, poza tym w Hammond's Point było radio taxi.

– To bardzo miło z twojej strony... – zaczęła.

– Żaden kłopot. To dla mnie po drodze.

– A gdyby to było odległe o tysiące mil? – zapytała żartem.

Spojrzał na nią przez chwilę, która zdawała się trwać całe wieki, i powiedział cicho:

– Byłbym szczęśliwy w każdym razie, że mogę cię odprowadzić.

Było przy tym coś w jego ciemnych, szarych oczach, kiedy tak patrzył na nią,

co sprawiło, że jej serce zaczęło bić mocniej.

– Czy zatańczysz ze mną? – zapytał.

I tak się zaczęło. Od spojrzenia. I od tańca. A kiedy przyjęcie się skończyło i Spencer odwoził ją do domu, wiedziała już, że to było to, na co czekała całą jesień.

Odprowadził ją do frontowych drzwi, otworzył je i oddał jej klucz. Ale chociaż położyła rękę na klamce, nie nacisnęła jej. Czy tylko ona czuła ten niezwykły żar, który wisiał w powietrzu tej nocy? Nie zrobił żadnego ruchu, żeby ją pocałować, a nawet, żeby wziąć ją za rękę. To mógł być ich jedyny wspólny wieczór i nie chciała, żeby się skończył.

Ale jak długo mogli tak stać i czekać z nadzieją...

– Czy będę mógł znów cię zobaczyć? – zapytał.

Sharley bała się pomyśleć, że on naprawdę tego chce.

Może zapytał tylko dlatego, żeby przerwać milczenie?

– Nie bardzo można tego uniknąć, zważywszy okoliczności... – powiedziała na pozór swobodnie.

– Nie to miałem na myśli, Sharley.

Było coś szczególnego w sposobie, w jaki wymówił jej imię.

– Ja bym chciała... – szepnęła.

I wtedy zadziwiła samą siebie. Uniosła usta do dołeczka w jego brodzie, a wtedy on zaskoczył ją nagłym, namiętym pocałunkiem.

Tak to się zaczęło. W ciągu kilku dni stali się tematem komentarzy w całym mieście, bo po upływie tygodnia spędzali niemal każdy wieczór razem.

Zaś w sylwestra, kiedy pili szampana w klubie, pocałował ją i powiedział drżącym głosem:

– Jestem osioł, że ci to pokazuję, ale... – I wyjął małe aksamitne pudełeczko z kieszeni.

Oczy Sharley rozszerzyły się z zachwytu, kiedy wspaniały brylant chwycił światło kandelabra i zamigotał tęczą blasków.

Spen zamknął pudełeczko i powiedział z wyraźnie brzmiącym wzruszeniem w głosie:

– Nie chcę cię przynaglać, mam jednak nadzieję, że któregoś dnia zechcesz go włożyć i... – przeciągnął ręką przez włosy. – To głupio z mojej strony. Zapomnij o tym.

Sięgnęła do jego ręki, prawie nie widząc przez łzy. Łzy szczęścia. Szepnęła:

– Ja nie chcę zapomnieć. Wyjdę za ciebie, Spen.

To zabawne, pomyślała Sharley, dopiero teraz zdaje sobie sprawę, że właściwie

on mi się nigdy nie oświadczył!

Wierciła się w zimnym łóżku. Nie mogła zasnąć.

Zaakceptowała propozycję małżeństwa, która naprawdę nigdy nie padła. Spen powiedział tylko, że przyjdzie dzień, kiedy się oświadczy, a ona odpowiedziała na pytanie, które nie zostało postawione, i przyjęła propozycję, która jeszcze nie padła. Nie wydawał się nieszczęśliwy z tego powodu. Wprost przeciwnie. Ale cóż biedny chłopiec miał robić? Powiedzieć siostrzenicy szefa, że nie to miał na myśli...

Naciągnęła poduszkę na głowę. Ale to nie pomogło, aby przed samą sobą skryć upokorzenie. Znalazł się w pułapce? – rozmyślała dalej. Jeśli tak, to może chciał, choćby podświadomie, żeby go nakryła tamtego dnia w domku ogrodnika? Chciał uciec, zanim nie będzie za późno? Tylko taki scenariusz nadawał jakiś sens temu, co się stało. Dlaczego zaprosił Wendy do tego domku? Zadawała sobie to pytanie tysiąc razy. Mógłby ją wziąć do hotelu albo do swojego mieszkania, a nie do domu, który miał dzielić ze swoją żoną. Wiedział, że lubiła tam zaglądać...

Zapadła wreszcie w ciężki sen raz po raz przerywany przez gwałtowne podmuchy wiatru i uderzenia gałęzi o blaszany dach. W pewnej chwili wydało jej się, że słyszy stuk drzwi. Ale to niemożliwe. Sprawdziła przed snem wszystkie zamki. To złamana wichrem gałąź musiała rąbnąć o ścianę.

Nad ranem burza minęła, lecz niebo wciąż zasnuwały ciemne chmury. Sharley z ociąganiem wstała z łóżka. W dużym pokoju będzie cieplej, myślała. Na piżamę włożyła ciepły, flanelowy szlafrok. Na nogi futrzane botki. Najpierw się rozgrzeje, a potem ubiorę, zdecydowała.

W dużym pokoju było cieplej, ale nie za bardzo. Resztki drewna leżały w kominku spopielone. Ciepło pewnie uciekło przez komin. Powinna była pozostać, aż ogień zupełnie wygaśnie, i zasunąć szyber. Poza tym, gazowy piec wydawał jakieś śmieszne dźwięki. Jakieś dziwne świstanie.

Nie, nie świstanie, ale jakby chrapanie. I dźwięk nie dochodził od pieca, a od kanapy. Chrapać mógł tylko człowiek. Niewątpliwie jakiś podróżny, złapany przez burzę, znalazł tutaj schronienie. Sądził, że nie ma nikogo. Pewnie ten hałas, który słyszała w nocy, to było wybicie szyby. To przez to jest tu tak zimno. Ale któż to mógł być? Jakiś włóczęga? Zbiegły kryminalista?

Przeszła na palcach przez pokój, ostrożnie podeszła do kanapy. Wstrzymała oddech, w każdej chwili gotowa do ucieczki.

Leżał na boku, jedno ramię zarzucone nad głowę, jaskrawokolorowa kołdra zaciągnięta pod brodę. Czarne włosy zmierzwiłone, jeszcze trochę mokre. Rzęsy

rzucały cień na policzki.

Sharley zmartwiała. Spojrzała znów. Nie, to nie była igraszka umysłu. Mężczyzna, który leżał na kanapie, tak spokojnie i głęboko uspiiony, to był naprawdę Spencer Greenfield.

Rozdział 4

Spencer musiał chyba wyczuć jej obecność, bo się gwałtownie obudził. Zrzucił kołdrę i skoczył na równe nogi.

Sharley aż się cofnęła ze zdumienia. A on stanął przed nią twarzą w twarz.

Przez długą chwilę po prostu stali i patrzyli na siebie.

Sharley była pewna, że to nie sen. Ale może jakaś siła kosmiczna, strojąc diabelskie żarty, zmiotła wytwornego Spencera Greenfielda i postawiła na jego miejsce odmienca?

Wygląda mizernie, pomyślała. Koszula i dzinsy wymięte, włosy rozczochrane, a na brodzie ciemna szczecina.

Ale i ona, trzeba przyznać, wyglądała okropnie. Nie uczesana, szlafrok wprawdzie ciepły i praktyczny, ale daleki od jedwabiu i koronek, które szykowała na miodowy miesiąc. Nigdy nie widział jej bez szminki i bez cieni na powiekach, tak jak ona nigdy nie widziała go nie ogolonego...

Spencer otworzył usta, jakby miał zamiar skomentować jej zjawienie, ale zamiast tego kichnął.

Ten dźwięk przywrócił Sharley do rzeczywistości. Włożyła ręce do kieszeni szlafroka i zapytała oschle:

– Cóż ty tu robisz, na Boga?!

Spencer ziewnął.

– Nie przyjechałem dlatego, że ty tu jesteś, jak zapewne przypuszczasz.

– Ach tak?

– Do diabła! Całe miasto wie, że pojechałeś na Wyspy Bahama. Gdybym chciał gonić za tobą, to jest to ostatnie z możliwych miejsc, gdzie bym cię szukał.

Usiadł na kanapie. Sharley powiedziała szorstko:

– Skoro w tak oczywisty sposób zgadzamy się, że nie chcemy być razem, jedno z nas powinno wyjechać. Ja byłem tu pierwsza, więc ty musisz...

– Nie w taką zawieruchę. Widziałaś, co się dzieje?

Sharley spojrzała przez okno. Nie mogła nic zobaczyć.

Dopiero po chwili zorientowała się, że szyby pokryte są grubą warstwą szronu, układającego się w śliczne, kwieciste wzory. Nie wierząc oczom, otworzyła frontowe drzwi. Wiatr owiał ją gwałtownie, przenikając do płuc. Zimno zmroziło czubki palców. W sekundę podłoga została zasłana śnieżną powłoką. Szybko zatrzasnęła drzwi i cofnęła się do wnętrza.

– Mój wóz utknął w rowie jakiś kilometr stąd – powiedział Spencer. – Ledwo tu dobrnąłem.

– Szedłeś?! Jakie to niemądre, Spencer! Nie pomyślałeś, że możesz przeczekać burzę w samochodzie?

– Oczywiście, że pomyślałem – powiedział poirytowany. – Ale wiedziałem, że nikt nie będzie mnie szukał, i siedząc tydzień w samochodzie zamarznię na śmierć. Musiałem znaleźć jakieś wyjście z sytuacji.

Miał rację. Jednak pomyślał, żeby iść w nocy w taką zawieruchę...

– Zanim tu doszedłem, piekielnie zmarzłem, więc usiadłem przy piecu i sam nie wiem kiedy usnąłem.

– Nie zdziwiło cię, że piec jest ciepły? – Sharley stanęła przy piecu. – A może twój mózg był zbyt zmarznięty, żeby myśleć logicznie?

– Wcale się nie zdziwiłem. Martin powiedział dozorczy, żeby przygotował dom dla mnie.

– Więc to dlatego w domku było ciepło, kiedy przyjechałam, pomyślała Sharley. Spencer znów kichnął.

– Przeziębilesz się!

Pociągnął nosem i wyjął chustkę z kieszeni.

– Gratulacje, pani Sherlock Holmes!

– Po co ten sarkazm? Nic dziwnego, że kichasz, skoro się przemoczyłeś, a potem nawet się nie próbowałeś wysuszyć.

Zerknęła na pokój. W kącie leżała jego duża torba. Nagle Spencer kichnął potężnie.

– Zrobię ci herbatę – westchnęła.

– Nikt cię nie prosi, żebyś mnie niańczyła – wymruczał niewyraźnie.

Nie raczyła odpowiedzieć.

Nie było światła. Lód osiadł na drutach i coś musiało wysiąść w instalacji. Ale na szczęście kuchenka była gazowa, więc za chwilę czajnik zagwizdał. To był rozkoszny dźwięk. Kiedy wróciła do pokoju, Spencer miał oczy zamknięte, ale zaraz je otworzył. Spojrzał na tacę, którą postawiła przed nim na małym stoliku. Były na niej dwa dymiące kubki herbaty, wysoka szklanka soku pomarańczowego i tabletki.

– Mocniejsze niż aspiryna – powiedziała, siadając obok na krześle.

Spencer sięgnął po tabletkę i szklankę soku.

– Nie jesteś niańką, jesteś aniołem.

Wdzięczność w jego głosie poruszyła ją, ale opanowała się i powiedziała

chłodno:

– Nie wpadaj w ekstazę. Mam ich tylko dwie, a jedna działa najdłużej dwanaście godzin.

Spencer połknął tabletkę.

– Błogosławię więc dzień dzisiejszy i nie będę się martwić o to, co przyniesie jutro – wychrypiał niewyraźnie.

Wygląda, jakby do tego bolało go jeszcze gardło, pomyślała Sharley. Jego lekkomyślność trochę ją drażniła.

– A z drugiej strony – powiedziała chłodno – w związku z tym, co jest ci dobrze wiadome, ta pigułka to przecież mógłby być cyjanek.

Uśmiechnął się z lekka.

– W takim razie powinnaś mi dać od razu obie. – Usadowił się na kanapie z kubkiem herbaty, zamknął oczy i zapytał: – Dlaczego w nocy nie widziałem twojego samochodu?

– Stoi z tyłu.

– Czy jest szansa, żeby go wyciągnąć?

– Jeśli swój wpakowałeś do rowu, dlaczego myślisz, że z moim będzie łatwiej?

– Dlatego, że jest dzień.

– To co? Będzie wspaniały widok, jak się oboje ześlizgniemy z drogi. Czy twój wóz jest bardzo rozbity?

– Niewiele mogłem zobaczyć – Spencer nie otwierał oczu. – Ale nie sądzę, żeby trzeba było go lakierować.

– Jak myślisz, czy Joe Baxter się tu pokaże?

– Dozorca? W taką pogodę? Dziecinna jesteś. Jeśli my nie możemy się stąd wydostać...

– Mógłby wziąć traktor.

– Martin powiedział mu, żeby mi nie przeszkadzał. Więc przypuszczam, że zrobił zapasy w kuchni, podłączył gaz i wodę, narąbał drewno do kominka i przez tydzień nie da już znaku życia.

– A niech to diabli... – Sharley westchnęła. – Nawet z nim nie porozmawiałam. Tylko z tą kobietą w sklepie. Ale skoro zrobił to, o co był proszony, prawdopodobnie już się mną nie będzie przejmował.

– A skoro wie, że oboje tu jesteśmy, nie sądzę, żeby chciał nam przeszkadzać.

– Jęknęła. Oczywiście miał rację. Joe Baxter mógł być przekonany, że to miłośna schadzka i będzie się trzymał z daleka.

– Joe mieszka niewiele więcej niż kilometr stąd. Moglibyśmy...

Spencer powoli otworzył oczy.

– To tyle, ile ja szedłem w nocy. I spójrz tylko na mnie.

– Nie pada teraz.

– W nocy temperatura gwałtownie opadła. Moglibyśmy zamarznąć, zanim przedostalibyśmy się przez pierwsze wzgórze. Musimy wytrzymać ze sobą przez dzień czy dwa, i to wszystko.

Wytrzymać ze sobą. Łatwo powiedzieć, pomyślała Sharley.

– To nie będzie trwać wiecznie – szepnął powoli, a za chwilę sprawiał wrażenie pogrążonego we śnie.

Powinien wypocząć, pomyślała. Widać było, że bardzo jest wyczerpany. Włókł się ponad kilometr w marznącym deszczu! To szczęście, że znalazł drogę do domku. W czasie burzy, w nie znanej okolicy bardzo łatwo pobłądzić.

Ale nie zablądził. Po co więc wpadać w panikę z powodu tego, „co by było”, jeśli, na szczęście, nie było.

Przyniosła kilka polan do kominka i zaczęła się rozglądać za czymś do jedzenia.

Spencer nie poruszył się ani nie otworzył oczu, ale powiedział:

– Dzięki, Sharley.

– W porządku. Szkoda tylko, że jesteś tu ze mną, a nie z Wendy – wyrwało się jej niezbyt zręcznie.

Mruknął coś, jakby się z tym zgadzał, ale natychmiast zamilkł.

Wszak powiedział wcześniej, że pragnął, aby mu nie przeszkadzano. Czy to możliwe, żeby planował tu spotkanie z Wendy?

Ale jeśli tak, to trudno sobie wyobrazić, ażeby Martin organizował mu to „słodkie sam na sam”. Lecz jeśli mimo wszystko tak, to czemu Wendy nie przyjechała razem z nim? A może wujek nie wiedział?

– Czy ona tu do ciebie przyjedzie, gdy minie burza?

– Nie. – Ta pojedyncza sylaba zabrzmiała krótko i ostro.

Sharley starała się nie poddawać uczuciu ulgi. To głupio, że zadała mu takie pytanie. Była o krok od paranoi. A jednak brnęła dalej.

– Dlaczego tu przyjechałeś?

Przez chwilę wydawało się, że w ogóle nie odpowie.

– Żeby myśleć – powiedział w końcu.

To właściwie nie była odpowiedź i Sharley wiedziała, że powinna dać już spokój. Ale ciągnęła dalej:

– Gdybym mogła zrozumieć, co ona znaczy dla ciebie.

– Nic, do pioruna! – jego głos zdradzał zniecierpliwienie.

Nic? Zniszczył ich wspólne życie z powodu kobiety, która nic dla niego nie znaczy?

– Skoro tak – powiedziała – czuję się jeszcze gorzej.

Spencer jeszcze spał, kiedy wyszła ze swojego pokoju, ubrana w dzinsy i w dwa grube swetry.

Chrapał. Ale nie było to przykre, ciężkie chrapanie. Brzmiało raczej jak rozkoszne mruczenie. Natychmiast upomniała się jednak: a co mnie to obchodzi, czy Spencer chrapie, czy nie. Policzki miał mocno zaczerwienione.

Zaniepokoiła się. Pewnie ma gorączkę. Lecz jeśli nawet ma, to co jej, u diabła, do tego?

Powoli, bardzo ostrożnie, przyłożyła dłoń do jego czoła.

Poruszył się i otworzył oczy.

Błysnęła myśl, że spojrział na nią tak, jak często patrzył, zanim zaczął całować. A nie były to pocałunki lekkie, figlarne, lecz gwałtowne, namiętne, żarłoczne.

Zaczerwieniła się jak burak. Czyż zupełnie nie potrafi już nad sobą panować?

– O Boże, jakiś ty nerwowy. Chciałam tylko sprawdzić, czy nie masz gorączki.

– I jaki werdykt?

– Nie jestem pewna – powiedziała uczciwie. – Wydajesz się bardzo rozpalony, ale może moje ręce są zimniejsze niż normalnie.

W oczach Spena pojawił się błysk ironii.

A niech sobie wyobraża co chce, myślała. Zarozumialec! Muszę się tłumaczyć, dlaczego go dotknęłam!

Nie bądź idiotką! – strofowała się. Nawet gdyby tak było, to nic nie znaczy. Pociąg fizyczny nie zawsze idzie w parze z miłością.

Spencer usiadł.

– Dałbym królestwo za gorący prysznic! Co z wodą? Czy aby nie wysiadła razem ze światłem?

– W porządku. Przynajmniej na razie.

– Świetnie! – chwycił swoją torbę. – Która sypialnia?

– Ja zajęłam tę na prawo.

Nie patrzyła na niego, kiedy wychodził. Oddzielne sypialnie, pomyślała. A dziś właśnie miał być ich ślub!

Zajrzała do lodówki. Wyciągnęła to i owo. Zanim Spencer wrócił, przygotowała kanapki z serem i krabami.

– Kraby? – zapytał mile zaskoczony.

Sharley kiwnęła głową i położyła kanapki na ruszt.

– Musimy je zjeść, bo się bez lodówki zmarnują. Chyba, żebym je wyniosła na dwór, ale wtedy tak zmarzną, że też się zmarnują.

– Więc zdecydowałaś, że lepiej będzie, jak ja je zniszczę. Dzięki, Sharley. Dobry z ciebie kompan – uśmiechnął się lekko.

Dlaczego ten niefrasobliwy komplement sprawił, że łzy stanęły jej w oczach, skoro przez tyle przeszła i nie płakała? Sharley nie mogła tego zrozumieć. Ale on nie powinien zobaczyć jej łez. Odwróciła się i zaczęła mieszać bulion. Za chwilę naląła go do kubków.

– Proszę, zacznij od tego. Uważaj, jest gorący. Spen prychnął i powiedział:

– Co? Nie rosół. Rozczarowałaś mnie.

Sharley patrzyła na niego szeroko otwartymi oczyma. Spostrzegła jakiś chochlik w jego oczach. Ale ledwie go zauważyła, już zniknął. Patrzył na jej usta.

To dlatego, że drżą, pomyślała, a nie dlatego, że chciałby mnie pocałować.

– Przepraszam – powiedział – chciałem tylko, żeby nie było tak śmiertelnie poważnie.

Sharley ledwie go słyszała. Zdała sobie nagle sprawę, czego oczekiwała. Miała podświadomą nadzieję, że przez prysznic i zmianę ubrania stanie się z powrotem tamtym Spenem. Spenem, którego znała i kochała. Ale oczywiście tak się nie stało. Włożył dzinsy i flanelową koszulę, w jasną, czerwono-niebieską kratkę. Przez to oczy nabrały koloru niebieskawej stali. Włosy miał podsuszone i sfalowane. Tylko na brodzie ciągle był zarost.

Naląła sobie bulionu do filiżanki.

– Masz zamiar zapuścić brodę? – zapytała.

– Och, nie. Ale zabrałem tylko elektryczną maszynkę. – Przejechał ręką po szczęce. – Nie chcę ci robić przykrości, Sharley, ale te grzanki bardzo ładnie wyglądały. Bardzo bym nie chciał, żeby się spaliły na węgiel.

Zdjęła zapiekanki z rusztu. Roztopiony ser zaczął już brązowieć. Była zadowolona, że żar mógł usprawiedliwić jej płonące policzki. Stoi i gapi się na niego jak ciele. Niedobrze z nią. Jakby nigdy nie widziała mężczyzny.

Spen wyjął z dolnej półki szafki dwa talerze, przyjrzał im się dokładnie i wytarł je ręcznikiem.

– Wystarczy dla higieny – powiedział.

– Zwłaszcza że je przed chwilą wymyłam. – Sharley zsunęła grzankę na talerz.

– Trochę chipsów?

– Prawdziwie domowy komfort. – Potrząsnął głową. Usiadł przy małym stoliku i pałaszował grzanekę.

Co on sobie myśli, zastanawiała się Sharley. Miłe ustronie, mała kobietka troszcząca się o niego i... żadnych komplikacji? Ta myśl sprawiła, że łzy zapiekły ją pod powiekami.

– Miałeś na myśli, przypuszczam, że wszystko będzie wspaniale, dopóki tabletki działa, a ja nie będę miała dosyć gotowania.

Spencer zmarszczył brwi.

– Nie prosiłem, żebyś koło mnie skakała, Sharley. Musiała przyznać, że to prawda. Jednak ostrzegła go:

– Nie licz, że tak dalej będzie.

– Nie liczę. Ale nie mam zamiaru także sprzeczać się o to, co kto zrobi pierwszy – popatrzył na nią przenikliwie. – Problem z tobą polega na tym, że jesteś przyzwyczajona do spełniania każdej zachcianki Charlotty i nawet nie czekasz, aż cię o coś poprosi...

– Gdybym chciała analizować wady swego charakteru... – przerwała mu. Ale on to zignorował i mówił dalej:

– Robisz wszystko, co według ciebie powinno być zrobione, a potem spodziewasz się oklasków za swoją dobroć. To mnie zdumiewa. Charlotta nie docenia tego, co dla niej robisz, dlaczego więc ktoś inny miałby to zauważyć?

– Do diabła, Spencer!

– Nie zrozum mnie źle. Nie uważam, że to, co robisz, nie jest tego warte, przynajmniej czasami. Nie myśl, na przykład, że nie doceniam tego lunchu. – Pomachał ręką nad talerzem.

– Tylko że nie zawsze jest łatwo grać rolę Dobrej Wróżki. – Sharley uważnie popatrzyła na niego. – Wiesz co, Spencer – powiedziała spokojnie – zaczynam się cieszyć, żeśmy tutaj utknęli.

– Tak? Dlaczego? – zapytał ostrożnie.

– Kilka takich dni, i będę zadowolona, że nie wyjaśniłeś mi tego małego epizodu z Wendy. Bo gdybyś to zrobił, mogłabym ci przebaczyć! – Postawiła kubek na stole tak mocno, że trochę bulionu wylało się na stół.

Spencer nawet nie drgnął.

– Nie możesz znieść myśli, że mogłabyś nie być samą doskonałością.

– Ja? Doskonała? Zwariowałaś? To głupie, Spen! Po wszystkim, co zrobiłeś, jeszcze, do diabła, myślisz, że masz prawo mnie krytykować?!

Odeszła w najdalszy kąt pokoju i usiadła tyłem do niego.

Zapadła cisza. Słyszeć było tylko miarowy szum gazu płonącego w piecu i porywy wiatru.

Jakieś pół godziny później Sharley usłyszała stuk otwieranych drzwi. Zerwała się z krzesła. Jakkolwiek prowadzili wojnę, nie może pozwolić, aby szedł ponad kilometr do domu Baxterów. Nie wiedział dokładnie, gdzie to jest. Był przeziębiony, a poza tym wziął lek.

Ale czy do mnie należy pilnowanie go? – pomyślała. Jeżeli jest takim idiotą, żeby w tych warunkach wychodzić, czy powinna próbować go powstrzymać? Ma rację. Nie jest jego niańką ani służącą. Nie jest także jego szefem.

Drzwi znów zaskrzypiały i Spencer wrócił. Niósł pełne naręcze drewna. Nogą zatrzaskał drzwi i położył polana przed kominkiem.

Sharley nie mogła się zdecydować, czy skarcić go, że nie wziął kurtki, czy powiedzieć, że się cieszy, iż nie poszedł do Baxterów. Więc ugryzła się w język i nie powiedziała nic.

Przyklął przed paleniskiem i cierpliwie rozpałał ogień. Mokre polana z trudem dały się podpalić. Wreszcie się udało.

Kiedy odszedł od kominka, nie wrócił na kanapę, ale przyszedł do niej i usiadł na poręczy jej krzesła.

Odsunęła się od niego tak daleko, jak tylko mogła, ale odurzyło ją ciepło i zapach dymu zmieszany z wodą kolońską.

Spen nie patrzył na nią. Patrzył w ogień.

– Przepraszam. Nie mam prawa cię krytykować. Twoje stosunki z Charlottą to nie moja sprawa.

– Z pewnością nie twoja – odpowiedziała sztywno.

Spen wstał.

– Zastanów się, Sharley. Hammond's Point jest małą dziurą. Musimy się spotykać. A wzajemny jad nie ułatwi nam tego.

– Masz rację. Ale może powinieneś pomyśleć o tym, zanim przyprowadziłeś Wendy na stypendialny festyn.

Mruknął coś pod nosem, czego nie uchwyciła. Zanim zdążyła zapytać, powiedział:

– Przepraszam. To nie było przemyślane.

Sharley oczekiwała, że powie coś więcej, ale on milczał.

– Czy to jeszcze jedna próbka z twoich wyczerpujących wyjaśnień? – zapytała złośliwie.

– Nie. Tu nie ma czego wyjaśniać.

– W tym wypadku może rzeczywiście nie warto.

Spen zacisnął wargi.

– W żadnym wypadku. Skoro zwróciłaś mi pierścioneł, nie jestem ci winien żadnych usprawiedliwień.

Na to miała nic do powiedzenia.

– Myślałem tylko, że powinniśmy się starać być dla siebie uprzejmi. To wszystko.

Uprzejmi! – pomyślała Sharley. Gdyby sprawy potoczyły się inaczej, szłaby teraz główną nawą kościoła, promienna narzeczona, żeby spotkać się przy ołtarzu z mężczyzną, któremu powierzyła swoje życie. Zastanawiała się, czy Spen wie, że teraz jest właśnie ta godzina, i czy widzi ironię tej sytuacji. Jak daleko zaszli. Od obietnicy miłości i wspólnoty na całe długie życie, do marnych wysiłków, żeby jedno dla drugiego było uprzejme.

Hammond's Point jest rzeczywiście bardzo małe i muszą tak postępować, aby ich sprawa przestała być sensacją i ludzie jak najszybciej przestali o nich mówić.

Spen musiał myśleć podobnie, bo uśmiechnął się krzywo i powiedział:

– Nie ma rady, trzeba będzie spróbować. – Zeskoczył z poręczy krzesła. – Czy nie ma tu czegoś, czym można by się zająć? Karty albo jakaś inna gra?

Jeśli myśli, że namówi mnie na pokera, to jest głuptas, pomyślała Sharley. Staram się być uprzejma, ale nie mam zamiaru być dla niego kumplem do kart.

– Tam są książki – wskazała na szafkę w kącie pokoju.

Kiwnął głową, jakby mu było wszystko jedno, podszedł do szafki i zaczął grzebać na półkach.

Sharley wychodząc zatrzymała się w drzwiach, bo usłyszała, jak wykrzykiwał coś z zadowoleniem. Odwróciła się i zobaczyła, że trzyma pudełko z układanką.

– Co miałeś zamiar robić tu przez cały tydzień? – zapytała złośliwie.

– W samochodzie mam teczkę pełną papierkowej roboty.

– Ładne wakacje – mruknęła i pomyślała, czy zabrałby tę teczkę także na Wyspy Bahama.

Kiedy wróciła z książką do pokoju, Spencer poświstywał nad układanką, którą zaczął rozmieszczać na stoliku. Sharley wzięła poduszkę z kanapy i usadowiła się na grubym dywaniku przed kominkiem. Zaczęła czytać.

Ale powieść nie była tak interesująca, jak się jej wydawało na początku, a gwizdanie Spena doprowadzało ją do szaleństwa. Odłożyła więc książkę i gapiła się w płomień, zastanawiając się, jak go poprosić kulturalnie, żeby się zamknął. Ale zanim coś wymyśliła, powieki zaczęły jej ciążyć i zdecydowała się chwilę

odpocząć.

Kiedy się zbudziła, w pokoju było niemal zupełnie ciemno. Jasna kołdra otulała ją ciasno. Odrzuciła ją, usiadła i przetarła oczy.

Spencer zapalił dwie świece na stoliku. W uniesionej ręce trzymał fragmentek układanki i zezował na nią.

– Psujesz sobie oczy po ciemku – powiedziała, a właściwie chciała powiedzieć, bo ziewnęła w środku zdania.

– Jesteś głodna? – spytał i uśmiechnął się.

– Tak jakby... trochę – odpowiedziała.

– Ja zdecydowanie jestem głodny. Skoro nie możemy zamówić telefonicznie pizzy, proponuję wołowinę i placki. Wołowina oczywiście z puszki, a placki zrobię sam.

– Brzmi nieźle – przyznała.

Spen odłożył układankę i poszedł do kuchni.

Sharley przeciągnęła się, usiłując rozprostować kości. Spanie na podłodze to nie był najlepszy pomysł. Dołożyła dREW do ognia i usiadła na kanapie. Poduszki były jeszcze ciepłe od jego ciała.

W migocącym świetle świec przyjrzała się układance. Wzięła fragmentek, który odłożył Spen, i próbowała znaleźć jego miejsce. Sporo już było ułożone i wzór stawał się widoczny. Rząd jasno pomalowanych wiktoriańskich domów pełnych wymyślnych detali. Fragmentek, który trzymała, był częścią okna. Zaraz to powinnam znaleźć, pomyślała.

Jednak dobre kilka minut minęło, zanim z triumfem wstawiła ów kawałeczek na właściwe miejsce.

– Psujesz sobie oczy po ciemku – głos Spena zabrzmiał jak echo.

Sharley drgnęła. Nie słyszała, jak wszedł i stanął nad nią. Wycierał talerz ręcznikiem zawiązanym w pasie jak fartuch. To podkreślało jego wąskie biodra i wydawał się jeszcze szczuplejszy.

– Chciałam ci tylko pomóc – powiedziała łagodnie.

– Zobaczysz, jak to się łatwo układa.

– Ach, więc masz zamiar bawić się w układankę?

– Spen zabrał świece.

– To nie fair! Jeżeli zabierzesz świece...

– Jeśli nie zabiorę – ostrzegł – będziesz jadła najdziwniejsze placki na świecie, bo nie będę widział, co kładę do ciasta.

W świetle błysków paleniska układanka nabrała barwy czerwonej. Sharley

ciężko westchnęła. Ale w głosie Spena nie było współczucia, kiedy powiedział:

– Gdybyś chciała zrobić coś pożytecznego, możesz zamieszać gulasz.

– Myślałam, że ten posiłek to twoja kolej. – Tym niemniej poszła za nim do kuchni.

– Mamy robić na zmianę? Liczyłem na współpracę.

Te beztrioskie słowa ubodły ją w samo serce. Wzięła jednak drewnianą łyżkę i próbowała się skoncentrować na gulaszu.

Spen sięgnął po coś na półce nad jej głową. Rękaw jego flanelowej koszuli otarł się miękko o jej włosy. Odskokzyła jak oparzona.

Światła świec rzucały błyski na jego twarz: migotanie uwydatniało tylko kości policzkowe, rzęsy, dołek w brodzie. Twarz cała rysowała się z boku niczym relief.

Gdyby odwróciła się tylko trochę, znalazłaby się od razu w jego ramionach.

I co wtedy? Czego by to dowiodło?

Za oknem trzasnęła gałąź pod ciężarem zlodowaciałego śniegu. Wydało się jej, że pękł także i urok tej chwili. Spen zaczął kręcić ciasto na placki, a Sharley znowu mieszała gulasz, starannie skrobiąc dno rondla. Starła się niepostrzeżenie zetrzeć łzy z wilgotnych policzków.

To miała być ich poślubna noc.

Och, Spen, chciała krzyknąć, co się z nami stało?! Gdybym choć mogła to zrozumieć!

Rozdział 5

Sharley jednak nie wykrzyczała niczego. Wiedziała, że Spen powiedział jej prawdę. Nie był jej winien żadnych wyjaśnień. Nie miała prawa zadawać pytań, skoro zwróciła mu pierścionek.

Ale cóż innego mogła zrobić w takich okolicznościach? Dała mu przecież okazję, żeby się wytłumaczył, a on nawet nie próbował. Dlaczego miałyby się teraz ludzi, że się w końcu usprawiedliwi?

Zmniejszyła płomień pod gulaszem i wyjęła z szafki talerze. Kiedy zaczęła nakrywać kuchenny stół, znów z trudem powstrzymywała łzy. Przypomniała sobie ich wspólne, dawne posiłki. Zwykle jadali w restauracji, albo w domu Hudsonów z Martinem i Charlottą. Rzadko zdarzało się, żeby byli tak zupełnie sami, jak teraz. Przypomniała sobie kilka kolacji w mieszkaniu Spena, zimowy piknik, kiedy znaleźli kącik w parku, gdzie nikt nie mógł im przeszkodzić... I teraz, ten prosty posiłek przy świecach. A dziś miało być ich wesele. Ale nie było.

Nagle pomyślała z gniewem, że uzalanie się nad sobą jest stratą czasu. Jednak z trudem przetykała ślinę, żeby nią zdusić wzbierające łzy.

Placuszki Spena były przepyszne. Lekkie, pulchne, rozplływały się w ustach. Powiedziała mu to, kiedy zajadała już trzeci.

– Nauczyłem się je robić od mojej mamy – pochwalił się, smarując masłem następny.

– Żałuję, że nie miałam okazji jej poznać.

Spencer rzadko wspominał swoją matkę. Umarła, kiedy był jeszcze w liceum. Czy powie coś o niej teraz?

– Jedliśmy często te placki, kiedy byłem dzieciakiem. Dużo czasu minęło, zanim zdałem sobie sprawę, że są nie tylko pyszne, ale i tanie... – przerwał i nadstawił uszu. – Słuchaj!

Powiedział to tak gwałtownie, że Sharley spodziewała się usłyszeć co najmniej ryk samolotu, a nie usłyszała nic. W końcu dała za wygraną.

– Niby co mam słyszeć?

– Wiatr – powiedział. – Nie ma wiatru.

Miał rację. Wiatr huczał wokół domku tak długo, że już przywykła do jego zawodzenia. Teraz coś się zmieniło, ale początkowo nie wiedziała co.

– Może to znaczy, że zbliża się ciepły front atmosferyczny? – Spen powiedział to tak sugestywnie, że Sharley wydało się, że już jest nieco cieplej.

– Już jest tu dużo przytulniej, prawda?

– Coś, jakby piec lepiej trzymał ciepło. Chociaż te ściany muszą być jak sito. –
Sięgnął po garnek z wołowiną i nałożył Sharley drugą porcję.

Patrzyła jak nakłada gulasz na jej talerz.

– Cóż, to miejsce nie było przystosowane do zimy.

– W ogóle nie mogę tu sobie wyobrazić eleganckiej Charlotty. Na samą myśl śmiech mnie ogarnia.

– Ona tu nie przyjeżdżała. To Martin uciekał na to odludzie od świata.

– Oczywiście. Wcale się nie dziwię, że uciekał.

– Spen, ja wiem, że nie masz wysokiego mniemania o Charlotcie. Ale nie jesteś wobec niej fair. Wylew, który miała kilka lat temu, bardzo ją zmienił. Przedtem nie była taka przykra – wyjaśniła zniecierpliwiona.

– Nie to miałem na myśli – zaprzeczył. – W każdym razie nie wojujemy dziś wieczór, dobrze?

– Dobrze – powiedziała ze smutkiem. – Ale naprawdę to nie jest wina Charlotty. Wylew czasem zmienia osobowość. I co by nie powiedzieć, jest bardzo, bardzo dobra dla mnie. Przygarnęła mnie w taki sposób...

– Na miłość boską, jest twoją ciotką! – przerwał Spen. – Czy mogła postąpić inaczej? I co by ludzie powiedzieli, gdyby cię odtrąciła?

– Ale to był właśnie rok, w którym przeżyła wylew. Była bardzo chora. Kto by przypuszczał, że moja matka umrze pierwsza... – westchnęła. – W każdym razie, rozhukana i bezmyślna nastolatka była jej wtedy chyba najmniej potrzebna.

– Nie rozhukana i bezmyślna – Spen potrząsnął głową. – Nie mogłaś być taka, Sharley. Nie ty.

Ton jego głosu, niski, z ledwie dostrzegalnym drzeniem, chwycił ją za serce. Brzmiał tak szczerze...

– Dziękuję – zdołała powiedzieć. – Ale...

– Naprawdę tak myślę – uśmiechnął się.

W świetle świecy jego zęby zaśniły bielą, w oczach tańczyły iskierki. Zawsze miał piękny uśmiech.

Patrząc na ten uśmiech, serce dziewczyny chciało wyskoczyć z piersi. Znów poczuła wilgoć pod powiekami. Szybko wstała i odsunęła krzesło.

– Pozmywam – powiedziała. – Placuszki były naprawdę wspaniałe, Spen.

Nie protestował. Pomógł sprzątnąć ze stołu, a potem zaczął poprawiać ogień w kominku.

Sharley zmywała talerze. Niemal pragnęła, aby powiedział: Nie ma pośpiechu.

Siądźmy i porozmawiajmy.

Ale on milczał.

W ciągu nocy wiatr się uspokoił zupełnie. Cisza wokół domku sprawiła, że to miejsce wydało się jeszcze bardziej odosobnione. Sharley, mimo wszystko, odczuła coś w rodzaju zadowolenia, że nie jest tu teraz sama. Niepokoiła się o zdrowie Spencera. Wprawdzie przez cały wieczór kichnął tylko raz, ale w nocy i nad ranem słyszała, że wstawał. Czyżby się poczuł gorzej?

Rano, po wyjściu z łazienki, wycierała ręcznikiem mokre włosy. Jak mogła zapomnieć, że nie może ich wysuszyć suszarką, bo nie ma prądu? Na pewno przeziębii się, zanim jej włosy wyschną.

W pokoju zastała Spena. W piżamie i szlafroku kąpielowym bawił się dalej układanką. Zaskoczył ją jego wygląd. Wczoraj wyglądał na chorego. Dziś cera odzyskała dawny, zdrowy koloryt, a zarost już był tak spory, jakby zaczął zapuszczać brodę. Wyglądał wspaniale.

Opanować się. Nie okazać mu, co do niego czuje.

– Może dobrze byłoby, żebyś się ubrał.

Obracał w palcach fragmentek układanki, aż wreszcie powiedział:

– A co by było, gdybym się nie ubrał?

Sharley splonęła rumieńcem.

– Nic – powiedziała. – Po prostu chodzenie w piżamie w dzień jest w złym guście.

– Nie dręcz mnie. – Wstawił fragmentek układanki na miejsce. – Bądź zadowolona, że mam piżamę i szlafrok. Zabrałem je tylko dlatego, że Martin mnie ostrzegł, iż sypialnie nie są ogrzewane.

Sharley zaczerwieniła się jeszcze mocniej. Odwróciła się do kominka i zaczęła rozczesywać włosy. Blask ognia mógłby usprawiedliwić jej rumieńce, gdyby Spen je zauważył. Nie odpowiedziała mu w ogóle. On też milczał. Przez chwilę słychać było tylko leciutki stuk zestawianych fragmentów układanki, szelest grzebienia rozczesującego włosy i trzask ognia w kominku.

Po kilku minutach Spencer porzucił układankę i przeszedł do swojego pokoju.

Wygrałam, pomyślała, to ja zostałam na placu. Ale małą pociechę miała z tego zwycięstwa. Włosy prawie już wyschły, a ona siedziała i gapiała się w ogień, rozmyślając, jak długo to wszystko jeszcze może trwać.

Chociaż wiatr ustał, temperatura chyba niewiele się podniosła. Szyby w oknach wciąż były pokryte szronem. Na takim odludziu drogi długo jeszcze będą

oblodzone, nieprzejezdne. Trzeba czekać na słońce.

Nagle poczuła zimne powietrze wiejące z otwartych drzwi.

– Hej! – krzyknęła. – Wypuścisz całe ciepło!

– Chciałem sprawdzić, w jakim stanie jest droga. – Zamknął drzwi z trzaskiem.

– Nie łudź się. Joe Baxter kiedyś powiedział, że stosują tu religijną metodę usuwania śniegu.

– Co to jest?

– On zdefiniował to tak: „Dobry Bóg zasypał nas śniegiem, i dobry Bóg rozpuści ten śnieg we właściwym czasie”. Myślę, że można to również zastosować do lodu.

Spencer wzruszył ramionami.

– Wyjdźmy i zobaczymy, jak to wszystko wygląda.

– A rób sobie co chcesz! – Sharley uniosła szczotkę do góry.

Podszedł do niej.

– Myślę, że nie byłoby źle, gdybyśmy zaczęli się zachowywać jak kumple.

– I co? Mamy wyjść i razem się wywalić na lodzie?

– Powietrze i trochę ruchu dobry by nam zrobiło.

– Ale co z twoim przeziębieniem?

– Już czuję się dobrze. To nie było prawdziwe przeziębienie, lecz skutki przewiania wiatrem i przemoknięcia.

– Więc jak się już czujesz lepiej, to znów chcesz się poczuć gorzej? – gderała Sharley.

– A co z tobą? Lenistwo?

Pochylił się nad nią, chwycił za ręce i zanim się spostrzegła, co on robi, już była na nogach.

– Mała przechadzka bardzo dobrze ci zrobi. Będziesz miała apetyt. – Poprowadził ją do drzwi i owinął szyję szalem.

– Mam i bez tego apetyt. – Zsunęła szal.

– To prawda – powiedział Spen poważnie. – Jesteś jedną z niewielu znanych mi kobiet, które nie jęczą bez przerwy o tym, ile kalorii zawiera jakaś potrawa. – Podał jej płaszcz.

– To dzięki Charlotcie. Powiedziała mi raz, że skoro temat jest piekielnie nudny dla każdego, z wyjątkiem tego, kto się odchudza, więc dama o tym nie mówi.

– Brawo dla Charlotty! – Zasunął zamek błyskawiczny swojej kurtki i otworzył drzwi.

Zadrżała z zimna i wyciągnęła z kieszeni futrzane nauszники. Wiatr ucichł, ale

mróz trzymał i wyjście z ciepłego wnętrza na dwór nie było zbyt przyjemne.

Sharley ślizgała się po oblodzonym ganku, chwytając się balustradki. Dziwiło ją, jak Spen zdołał się nie wywalić, gdy kilka razy niósł po ciemku pełne naręcza drewna.

Zeszła po stopniach ganku i przystanęła, żeby się rozejrzeć. Na niebie wciąż wisiały ciężkie chmury. Bez jednego choćby promienia słońca pejzaż wyglądał jak czarno-biała fotografia, z licznymi odcieniami szarości.

Panowała absolutna cisza. Ani śladu życia. Ni zwierząt, ni ptaków, ni ludzi.

– Znakomite miejsce na parkowanie samochodu, panno Collins – zawołał Spen.
– Nie przyszło ci do głowy, że rozsądniej byłoby zostawić wóz na płaskim terenie, niż ciągnąć go na wzgórze?

– I to mówi ktoś, kto zostawił samochód w rowie! Uśmieć się można!

– Nie zrobiłem tego naumyślnie. I wiesz, że i tak zajechałem znacznie dalej, niżby się to udało przeciętnemu kierowcy.

– Przeciętny kierowca prawdopodobnie miałby dość sprytu, żeby zawrócić.

– Gdyby było dość miejsca – odpowiedział Spen spokojnie – tobym to zrobił.

Ale wtedy przecież byłaby tu sama. Nie ma sensu ciągnąć tego dłużej. Mimo to powiedziała:

– Wtedy nie było lodu. Mogłabym wyjechać. Tamtej nocy myślałam tylko o tym, żeby wnieść do domu moje rzeczy i jak najmniej zmoknąć. Nie przyszło mi do głowy, że będzie mróz.

– Cóż, stało się – westchnął Spen. – Chodźmy zobaczyć, co jest z moim samochodem.

Zwariowany pomysł, pomyślała. Ale może rzeczywiście jego wóz nie utknął w tak złym miejscu, jak to się wydawało. Wszystko wygląda gorzej po ciemku. Może uda się go wyciągnąć z rowu i wrócić zaraz do miasta.

Ruszyli. Z trudem posuwali się naprzód. Kiedy dotarli do żuźlowej drogi, szło się już trochę łatwiej. Co rusz napotykali zwalone konary drzew. Sharley słyszała wprawdzie za oknami domku trzask łamanych wicherą gałęzi, ale dopiero teraz zdała sobie sprawę, jak okropnych zniszczeń dokonała burza.

Im dalej szli, tym było bardziej przyjemnie. Do zimnego powietrza już przywykła. Była dobrze opatulona, nie było wiatru. Spen miał rację, że ruch dobrze jej zrobi.

Doszli wreszcie do wzgórza, z którego widać było samochód. Maskę tkwiła w rowie. Jedno z tylnych kół nie dotykało ziemi. Było źle, ale jeszcze nie najgorzej. Jeszcze kawałek dalej i wóz runąłby w przepaść. Spen miał szczęście, że wyszedł z

tego cało i trafił do domku. Mógłby tu zginąć w gąszczu splątanego żelastwa albo zamarznąć na śmierć, gdyby nie dotarł na miejsce.

Czuła, jak z przerażenia krew ucieka jej z twarzy. Był w strasznym niebezpieczeństwie.

– Tak, właśnie tak to zapamiętałem – powiedział Spen. – Robi wrażenie, co?

Sharley oddychała z trudem. Przecież niebezpieczeństwo minęło, starała się uspokoić. Poza tym, już nie powinno mnie obchodzić, co się z nim dzieje.

– Wspaniałe miejsce na parkowanie samochodu, panie Greenfield – oświadczyła z kamienną twarzą.

– Cieszę się, że mam powód, by ci nie pożyczać swojego.

Spen spojrział tylko na nią i zawrócił do domku.

– Nie masz zamiaru przynajmniej go zabezpieczyć?

– zapytała.

– A kto go tu ukradnie? Poza tym, nawet gdybyśmy mogli go wyciągnąć, to czy nie widzisz drzewa...

Przerwał i nagle Sharley usłyszała huk, jakby wystrzał z karabinu. Zaczęła się rozglądać, skąd ten huk, i dlatego nie zauważyła, co ją uderzyło. Odniosła nagle wrażenie, jakby fruwała, jakby nic nie ważyła, a potem poczuła, że leży na żwirze, kawałek dalej od miejsca, gdzie stała, a Spen pochyla się nad nią, jakby ją przed czymś osłaniał.

Zobaczyła gałęzie tuż przy swojej twarzy. Zdawały się kołysać, ale nie była pewna, czy to one się kołyszą, czy to jej głowa gdzieś odpływa od tego uderzenia o lodowaty żwir.

Próbowała mówić, ale oddech uwiązał jej w płucach i wydała tylko lekki pomruk.

– Sharley – usłyszała pełen niepokoju głos Spena. – Nic ci się nie stało?

Dotknął ją delikatnie. Wciąż nie mogła mówić. W końcu zdołała wykrztusić:

– Nic mi nie jest... Tylko nikt nigdy... tak mnie nie cisnął o ziemię...

– Nie miałem wyboru, rozumiesz? Ty wariatko, stałaś i spokojnie czekałaś, aż ta przeklęta gałąź runie ci na głowę.

Kłęczał obok niej.

– Leż chwilę, sprawdzę, czy ci się nic nie stało. Nie przypuszczałem, że się tak przewrócisz. To przez ten lód pod nogami.

Czuła ciepło jego rąk, nawet przez gruby płaszcz.

– To o tym drzewie mówiłeś? – wskazała wzrokiem.

Potrząsnął głową.

– Nie, myślałem o tamtym na szczycie wzgórza, które właśnie w tej chwili robi to, co już to tutaj zrobiło.

– Masz na myśli, że runęło? – zapytała niepewnie.

– W końcu zauważyłaś! – Mimo kpiącego tonu, jego głos z lekka drżał. – Sharley...

– Och, Spen – uniosła się ku niemu i z niemal konwulsyjną siłą objęła go za szyję i przyciągnęła do siebie, jakby był pledem, który mógł ją ogrzać i uzdrowić.

Poczuła dotyk jego policzka na swoim, miękkim zarost brody, łaskotanie rzęs na skroni...

Zadrżała na myśl, że gdyby Spen jej nie popchnął, to spadająca gałąź by ją zabiła.

Usta Spena muskały jej policzek.

– Już dobrze – szeptał – już wszystko dobrze...

Nie puszczała go. Palce mocniej splotły się na jego szyi.

– Do pioruna... – powiedział niepewnie. – Nie przypuszczałem, kiedy cię wyciągałem z domu, że będę wodzony na takie pokuszenie.

Sharley nic nie mówiła. To nie był moment, żeby się zastanawiać, czy dobrze to, czy źle. Odchyliła się trochę, a potem przyciągnęła go do siebie jeszcze mocniej.

Jego usta były zimne, ale w jednej chwili chłód zniknął, a namiętny żar zespolił ich gwałtownie, jakby nic innego, tylko to było realne na tym świecie.

Nagle Spen odsunął się. Ciężko oddychał. Oczy mu ściemniały.

– Nie ma sensu igrać z ogniem – wychrypiał i pomógł jej stanąć na nogi.

– Możesz iść?

– Przepraszam, Spen... – skinęła głową i ciężko westchnęła.

Nie odpowiedział, więc myślała przez chwilę, że nie usłyszał.

– Nie twoja wina – powiedział w końcu. – Całe szczęście, że nie miałaś na sobie szortów. Byłabyś cała poharatana żwirem.

Wyobraziła sobie siebie w szortach w taką pogodę i jak oblodzone drzewo wali się na nią. Wydało jej się to tak komiczne, że zaczęła zanosić się śmiechem.

– Sharley! Przestań! – jego głos brzmiał stanowczo.

Ledwie mogła mówić.

– Ale to by było cholernie zabawne! W sandałach, w słonecznych okularach i z plażowym ręcznikiem przewieszonym przez ramię!

– Nie wpadaj w histerię! Chodź. Myślę, że zimno, szok... i wszystko... zamąciły ci w głowie.

Otrzeźwiała natychmiast i jej oczy napełniły się łzami. Spen podniósł nauszники, leżące pod gałęzią, na poboczu drogi.

– Przykro mi, że cię tak popchnąłem.

Potrząsnęła gwałtownie głową.

– Nie bądź głupi, Spen, uratowałeś mi życie. A przynajmniej uchroniłeś od wielkiego guza na głowie.

Dotknął jej szyi, wsunął rękę we włosy, dokładnie obmacał całą czaszkę. Sharley wstrzymała oddech.

– Nie jestem pewien, czy nie masz guza – powiedział. – Nie wyglądasz na kontuzjowaną, ale tak się właśnie zachowujesz.

Sharley pomyślała, że może ma rację. Dotyk czubków jego palców, chociaż był bardzo delikatny, czuła jak pocieranie papierem ściernym. Kiedy cofnął rękę, sama nie wiedziała czy doznała ulgi, czy rozczarowania.

– Dlaczego to drzewo runęło? – zapytała. – To znaczy, dlaczego właśnie tu? A może mam pecha? Może wybieram złe miejsca?

– To mogło być jak lawina – rzekł Spen. – Drzewo osłabło od ciężaru lodu i prędzej czy później musiało runąć. Albo może nasza obecność wywołała wibracje, które to przyspieszyły.

Sharley zmarszczyła brwi.

– Dlatego, żeśmy przechodzili i rozmawiali?

– Niewykluczone.

– To tak, jak śpiewając wysoką nutę, można stłuc szkło?

– Coś w tym rodzaju. To interesujący problem w fizyce.

– Może i lekcje śpiewu, do których zmuszała mnie Charlotta, mogłyby dać taki efekt?

– Lepiej nie próbuj.

Droga powrotna wydała im się o wiele dłuższa, więc kiedy wreszcie doszli do domku, Sharley odetchnęła z ulgą.

– Jestem śpiąca jak niemowlę po tym spacerze na świeżym powietrzu.

– Żałuję, ale żadnych drzemek – oświadczył Spen.

– Dlaczego nie? – Obserwowała go uważnie, kiedy odpinał guziki jej płaszcza.

– Och, wiem. Chyba jednak nie myślisz, że jestem kontuzjowana?

– Mam nadzieję, że nie, lecz ostrożność nie zawadzi.

– A gdyby... Ale byś miał kłopot! Jakbyś mnie dowlókl do Baxterów?

– Za włosy – powiedział. – Zrobię ci kawy, żebyś nie usnęła.

Sharley usiadła przed kominkiem pojękując, bo po upadku bolała ją każda część

ciała. Jak to znoszą gracze w piłkę nożną? Trudno sobie wyobrazić, że dobrowolnie można się na to narażać. Jakoś się usadowiła i zamknęła oczy.

– Żadnych takich! – zawołał Spen. – W szafce są karty, jeśli lubisz pokera.

– Czy mam jakiś wybór? – westchnęła.

Za chwilę postawił dwie filiżanki kawy. Podniósł ją delikatnie za ramię.

– Zbudź się, śpiąca królewno – powiedział. Sharley usiadła.

– Czy to musi być poker?

– Dam się namówić i do innej gry.

– Zagrajmy w durnia – zdecydowała.

– Dlaczego w durnia, na miłość boską? Uśmiechnęła się szelmowsko.

– Bo grałam tak często z moimi siedmiolatkami, że mogę grać nawet śpiąc.

Spen roześmiał się i przysunął krzesło.

– Masz pecha, bo ja nie jestem siedmiolatkiem. – Zaczął fachowo tasować karty. – A propos, co cię tak entuzjazmuje w twojej szkole? Po trzech latach uczenia wciąż tej samej matematyki i tego samego czytania, to musi stać się nudne.

– Gdyby było tak, jak mówisz, to rzeczywiście wiałoby nudą – przyznała. – Ale w rzeczywistości ja w ogóle nie daję lekcji. – Zebrała swoje karty i zaczęła je układać.

Spen spojrzał zdumiony.

– Co to znaczy? Jak to, nie dajesz lekcji?

– Ja uczę dzieciaki. I, mimo że materiał jest ten sam, nie ma nawet dwu dni podobnych, ponieważ dzieci są różne.

Spen położył resztę talii między nimi. Nie podniósł jeszcze swoich kart.

– Nigdy mi o tym przedtem nie mówiłaś. Nie miałem pojęcia, że takie masz podejście do swojej pracy.

Sharley nie podniosła oczu znad kart.

– Nigdy nie pytałeś – powiedziała i wyłożyła króla.

Jak mało naprawdę wiedzieliśmy o sobie, pomyślała, kiedy na zawsze powierzaliśmy sobie nasze życie. Może dobrze, że stało się, jak się stało.

Ale jakakolwiek była prawda, nie mogła uwolnić jej serca od smutku.

Rozdział 6

Sharley tak długo i starannie układała karty, póki się nie upewniła, że będzie w stanie unieść do góry głowę i uśmiechnąć się.

– Nie masz zamiaru grać? – spytała.

Spen nawet nie wziął ze stołu kart.

– Masz rację – powiedział cicho. – W gruncie rzeczy, nigdy nie mieliśmy dla siebie czasu. Jeśli nie byłaś zajęta szkołą albo przygotowaniami do ślubu, to wyręczałaś ciotkę w jej społecznych zajęciach.

– A ty co? Nie miałaś żadnych zajęć zapisanych w swoim kalendarzu?

– *Mea culpa* – Spen uśmiechnął się lekko. – Więc pytam teraz: czemu zostałaś nauczycielką? I dlaczego uczysz takie małe dzieciaki?

– Och, jakbym słyszała Charlotte. Zawsze chciałam uczyć – powiedziała powoli. – Zanim jeszcze nauczyłam się czytać, lubiłam usadzać w rządki lalki i misie, i dawać im lekcje.

– A co robiłaś, jeśli się nie trzymały rzędka? Stawiałaś je do kąta?

Sharley udawała, że nie słyszy.

– Zawsze chciałam uczyć małe dzieci. Druga klasa jest idealna dla mnie. Dzieciaki uczą się żyć ze sobą w zgodzie.

– Później w życiu już im się to nie udaje. – Spen odłożył karty.

– Cóż za cyniczne podejście! Zastanów się: uczę ich tego, co w życiu najważniejsze! Nie jestem pewna, czy równie dobrze umiałabym uczyć, jak się zawiązuje sznurowadła.

Przyznała jednak sama przed sobą, że przecież pragnęła, aby przyszedł dzień, kiedy będzie uczyć jedno dziecko. Swoje własne. Uczyć sznurowania buciczków, rozpoznawania kolorów i liczenia do dziesięciu. Jedno dziecko, jej dziecko, no, może dwoje. Ale nie pora teraz marzyć o tym, co by było, gdyby się sprawy potoczyły inaczej. Wzięła głęboki oddech i ciągnęła dalej:

– Kiedy mają siedem lat, rozwija się ich zdolność postrzegania i zaczynają rozglądać się po świecie. Druga klasa to sama ciekawość i nienasycony apetyt na wszystko. – Spen roześmiał się znowu. – Kiedy to prawda! – upierała się Sharley.

Nie wiedziała, czy powinna być szczęśliwa, że nie zauważył jej zmieszania, kiedy mówiła o sznurowaniu buciczków, czy też raczej rozczarowana, że nawet nie pomyślał o dzieciach, które mogliby mieć. Tak jest lepiej. Masz być zadowolona, rozkazała sobie. Tak, to jest mniej bolesne.

– I dlatego to cię tak fascynuje?

– Jest coś magicznego w otwieraniu dzieciom okna na świat. To jest porywające, jak nic innego w życiu.

– Sprawiałaś, że chciałbym niemal sam tego popróbować – zamyślił się przez chwilę. – A co sądzisz o poglądach Charlotty na ten temat?

– Nic, naprawdę. Ona po prostu nie rozumiała, dlaczego wybrałam ten zawód. Spen skinął głową.

– Taka głupia praca, uczenie smarkaczy – uchwycił melodię głosu ciotki. Sharley mimo woli uśmiechnęła się na tę parodię.

– Nie, obiekcje Charlotty nie były aż tak mocne. Ostatecznie nauczanie jest zawodem kobiecym. Bardziej niż wiele innych, które mogłabym wybrać.

– Na przykład: hutnik, patolog, piosenkarka w knajpie – zakpił Spen. – Tak, w tym wypadku Charlotta miała rację.

– Ale skoro już tak nalegasz, żeby być nauczycielką, tłumaczyła, to czemu chcesz marnować życie, ucząc dzieci? Dlaczego nie miałabyś być profesorem w liceum? To już jest jakaś pozycja i przyszłość.

– Właśnie – zaciekawił się. – Dlaczego?

Sharley spojrzała na niego z oburzeniem.

– Nie patrz tak na mnie, jakbym ci wyrwał koło ratunkowe! Ja tylko pytam. Jesteś pewna, że chcesz grać w karty?

– Możemy zagrać. A dlaczego nie liceum, pytasz? Bo każdy może tam uczyć.

– Przepraszam, ale...

– Zastanów się, Spen. Jak już ktoś dojdzie do liceum, to wie, czy chce się naprawdę uczyć, czy nie. Jeśli nie chce, będzie chodził na wagary, i to, kto go uczy jest bez znaczenia.

– Niezupełnie się z tym zgadzam. Pamiętam jedną nauczycielkę...

Przerwał, więc po chwili Sharley go ponagliła:

– No i?

– Właśnie w ostatniej klasie liceum miałem nauczycielkę, która trafiła mi do rozumu. Należałem do tych, o których przed chwilą mówiłaś. Zawsze miałem wymówkę, żeby nie odrobić lekcji, a często nawet i nie starałem się, żeby znaleźć wymówkę. Matka właśnie w tym czasie umarła i zacząłem jeszcze bardziej lekceważyć – szkołę. Uważałem, że nic mi ona nie daje i rozglądałem się za jakąś robotą. Myślałem o samochodach, bo wydawało mi się, że jest to jedyna rzecz, do której mam talent.

– Nie było to zbyt mądre.

– Może, ale miałem osiemnaście lat i nie widziałem żadnej alternatywy. Nie miałem też ciotki ani wuja, którzy by chętnie płacili za moje wykształcenie w college’u.

Sharley przygryzła wargi. Po co ten sarkazm z jego strony? Przecież ona wie, że miała wielkie szczęście, to fakt. A jednak...

– Ta nauczycielka wezwała mnie pewnego popołudnia i wyłożyła karty na stół. Powiedziała, że to, co zdarzyło się mojemu ojcu, nie usprawiedliwia mnie, i żebym nie marnował sobie życia.

Sharley ciężko westchnęła. Spen uśmiechnął się krzywo.

– Oświadczyłem jej, że gdyby była mężczyzną, tobym jej przyłożył. A ona powiedziała, że nie traci nadziei, że tkwi jeszcze we mnie, głęboko gdzieś ukryte, poczucie honoru, i żebym jej zdradził, gdzie ono jest.

– To była bardzo mądra osoba.

– Bardzo. Wtedy nie zastanawiałem się nad tym. Wiedziałem tylko, że pierwszy raz spotykam kogoś, komu na mnie zależy.

Sharley położyła dłoń na jego rękę. Spen nie patrzył na nią.

– Pierwszy raz opowiedziałem komuś o niej.

Wyczuła z jego głosu, że żałuje tego, przynajmniej trochę, jakby się bał, że mógłby wzbudzić w niej cłkliwe współczucie.

– Ta historia nie zmienia mojego poglądu, Spen. To raczej wyjątkowy przypadek, że w liceum nauczycielka umiała poznać cię na tyle, żeby wiedzieć, jaki guziczek nacisnąć. – Uśmiechnął się tylko. – Więc miałeś zamiar pracować przy samochodach? Silniki czy karoserie?

– Silniki. A bo co?

– Twój samochód będzie wymagać blacharza. Chociaż przyda się i mechanik. Nieźle rąbnąłeś.

– Dziękuję, Sharley. – Spen położył ostatnią kartę.

– Za co? Za to, że mnie ograłeś? A propos, rozmawiałeś ze mną, żeby sprawdzić, czy mi się w głowie nie poplątało, czy też, żebym nie uważała i grała przez to źle?

– I dlatego, i dlatego. – Spen zebrał karty i zaczął je tasować. – Jesteś pewna, że nie chcesz zagrać w pokera?

– Nie chcę. – Próbowwała wstać z kanapy. Nie było to łatwe. Wszystko ją bolało. Jednak wiedziała, że powinna się ruszać. – Chcę coś zjeść. Nie jedliśmy śniadania.

– Mów za siebie.

Zatrzymała się w drodze do kuchni i spojrzała na niego przez ramię.

- Ach, to dlatego kręciłeś się rano po kuchni i robiłeś taki hałas?
- Jaki hałas? Zachowywałem się bardzo cicho.
- Sharley ukroiła grubą kromkę chleba i posmarowała ją dżemem.
- Zrobię ci filiżankę kawy. – Napelniła czajnik i postawiła go na gazie.
- Zrobisz mi, bo sama chcesz się napić, prawda?
- A czy nie na tym polega duch współpracy, o którym tak pięknie mówiłeś?
- Gdyby nie ten „duch”, nie powiedziałbym ci, że masz dżem na twarzy.

Sharley wytarła kąciki ust.

- Nie wytarłaś. – Spen potrząsnął głową.
- Więc gdzie jest?

Sięgnął po nóż i powoli rozsmarowywał dżem na chlebie.

- Chodź tu, to ci pokażę. Tylko z dobroci serca, rozumiesz?

Nie patrzył na nią. Ale jakby lekko zachrypła nuta w jego głosie sprawiła, że coś w niej zadygotało. Chyba nie ma zamiaru scałować dżemu z jej twarzy? Po tym, co powiedział o igraniu z ogniem? Nie, na pewno nie miał takiego zamiaru.

Nie zdawała sobie sprawy, jak blisko podeszła do niego, póki się do niej nie odwrócił. W kuchni było chłodno, ale poczuła gorący oddech Spena na czole. Gorący i trochę szybszy niż normalny. Jego ramię objęło ją wpół. Zamknęła oczy i czekała na dotyk jego warg na swoich. Ale zamiast tego, poczuła na brodzie chłodny materiał. Otworzyła oczy. Spen wytarł jej brodę ściereczką.

– Tu – powiedział rzeczowo. – Zrobione. – Odłożył ściereczkę i wrócił do smarowania kromki chleba.

Dobra nauczka, powiedziała sobie, żebym nie myślała, że nikt mi się nie oprze.

Powoli zjadła resztę kromki, a potem zrobiła kawę.

Ale nie mogła przestać myśleć o dżemie. Spen miał rację. Igranie z ogniem. Cała ta sytuacja i tak była dostatecznie trudna. A jeszcze fizyczny kontakt. To dolewanie oliwy do ognia.

Pociąg fizyczny to nie wszystko, mówiła sobie. Nie jest najważniejszy w związku między kobietą a mężczyzną. Więc dlaczego pozwala sobie tak bardzo ulegać uczuciom pożądania? Musi przestać o tym myśleć.

Spen, pogwizdując, myszkował po kuchni. Wyciągnął puszkę błyskawicznej zupy.

- Może byśmy zjedli wczesny lunch? – zasugerował. – Gdzie jest otwieracz?

Sharley chciała otworzyć szufladę, ale ta się zacięła. Pociągnęła mocniej i... porcelanowa gałka została jej w ręce. A to pech! Kuchnia była stara, wszystko w niej było stare. Życie bez lodówki było już okropne, a teraz jeszcze nie można się

dostać do otwieracza!

– Podaj mi nóż, spróbuję nim otworzyć.

– Tak, i zatniesz się w rękę.

Spen zawinął rękawy swetra, otworzył szufladę, która była pod tą z otwieraczem, wsunął w nią obie ręce i nacisnął dno tej górnej.

– Listwy – powiedział – wypaczyły się. – Naciskał i naciskał. W końcu szuflada drgnęła i otworzyła się odrobinę. Wtedy Spen włożył palce w tę szparę i ciągnął dalej. Daremnie! – Cholera! – zaklął. – Czy możesz włożyć tam swoją rękę? Moja jest za duża.

Sharley wsunęła obie ręce i usiłowała namacać otwieracz. Wreszcie udało jej się chwycić go w dwa palce i przeciągnąć przez szparę.

– Brawo! – ucieszył się. – Jeżeli nie ma tam nic innego, co może być nam potrzebne, niech to tak zostanie.

– Muszę zapamiętać to małe doświadczenie dla moich dzieciaków. Jak zidentyfikować przedmiot, nie patrząc na niego.

– Dziwię się, że cokolwiek działa w tym domu. Martin nie jest najlepszym gospodarzem.

– Martin nigdy nie wykazywał zdolności do majsterkowania. Kiedy próbował skosić trawnik, pomieszał olej z gazem i zepsuł kosiarkę.

– Kiedy to było?

– Och, jakieś pięć lat temu. Wtedy Charlotta wynajęła pomocnika. Czy to dlatego Martin tak cię lubi? Że jesteś taki zręczny do wszystkiego, a on ma dwie lewe ręce?

– Wyciągnięcie szuflady to nie była zręczność, tylko brutalna siła, Sharley. A poza tym, chciałbym wierzyć, że nie dlatego Martin mnie lubi.

Sharley usadowiła się w kącie przy stole.

– Wiesz – powiedziała ostrożnie – zawsze się zastanawiałam, dlaczego zostałeś w Hammond's Point.

Spojrzał na nią i zaczął mieszać zupę.

– Hudson Products to była dla mnie dobra i ciekawa praca. Coś pomiędzy zarządzaniem, kierowaniem ludźmi, a rozwiązywaniem praktycznych problemów. Jestem facetem, który lubi do wszystkiego przykładąć rękę, a w większości tego rodzaju firm nie dostałbym się do działu produkcji.

Sharley czekała chwilę, że może powie coś więcej, ale on milczał.

– Miałam na myśli... – przerwała. – Przepraszam, ale to nie mój interes...

– Miałaś na myśli mojego ojca i to co zrobił?

Pierwszy raz poruszył ten temat.

– Cóż... tak... Myślałam, że gdzie indziej byłoby ci łatwiej.

Spen wzruszył ramionami.

– Już prawie wyjeżdżałem. Byłem na czarnej liście w Hammond's Point, to pewne. Nikt nie chciał ryzykować dla szczeniaka Johna Greenfielda. Ale nie mogłem zapomnieć słów tej nauczycielki. Powiedziała, że nie uda mi się uciec od tego, co się zdarzyło. Bo gdziekolwiek bym nie był, nie przestanę być sobą, nie ucieknę od siebie. Więc kiedy Martin dał mi tę szansę... – załamał mu się głos.

– On jest wyjątkowym facetem, prawda? – powiedziała Sharley. – Nigdy nie zapomnę, ile mu zawdzięczam. Charlottcie także, oczywiście, ale Martin to nie – rodzina. Charlotta jest siostrą mojej matki. On nie musiał przyciągać mnie i traktować jak własne dziecko.

– Ta-ak – powiedział Spen. – Wiem. Nawet imię masz po Charlottcie, prawda?

– Coś w tym rodzaju. Miałam po chrzestnej matce na imię Shirley, więc połączono oba te imiona... Spójrz!!!

Spen skoczył, i zaklął, bo gorąca zupa oblała mu rękę.

– Co? Co się stało?

– Słońce świeci!

Podeszła do okna. Najgorszy lód stopniał i środek szyby był czysty. Chwyciła ścierkę i przetarła ją. Światło było blade i słabe, ale to niezaprzeczalnie było słońce. Do czarno-białego pejzażu wrócił kolor. Lód pokrywający gałęzie lśnił jak diamenty. Słońce kładło tęczowe blaski na wzgórza.

Spen także podszedł do okna.

– Lód zacznie się niedługo rozpuszczać – powiedziała Sharley z entuzjazmem i ucisnęła mu rękę. – Może nawet dzisiaj uda nam się wyjechać.

– Jeśli to się utrzyma – spojrzał na zachód. – Trudno powiedzieć, czy niebo się rozjaśnia, czy to tylko chwila, i znów zgromadzą się chmury.

I właśnie, kiedy to mówił, chmury zasłoniły słońce.

– Do diabła! To fatalnie! – jęknęła Sharley.

– Dopiero minął jeden dzień. To nie będzie trwało wiecznie – głos Spena zabrzmiał sucho.

Zdała sobie nagle sprawę, że opiera głowę o jego ramię.

– Przepraszam. – Odsunęła się.

– A po co są ramiona? – powiedział i wrócili do kuchni.

– Zupa jest jeszcze gorąca. Czy są krakersy?

Zaczęła szukać ich w szafce, zadowolona, że może się odwrócić. Co się ze mną

dzieje? Przecież nie chcę tego mężczyzny. Więc dlaczego nie potrafię trzymać się od niego z daleka?

Spen nalał zupę na talerze i zapytał:

– Co będziemy robili po lunchu? Chcesz rewanżu w durnia?

Sharley chętnie oderwała się od swoich myśli.

– Znów karty? Nie, dziękuję. Już palce mnie bolą od tasowania. – I na Boga, pomyślała, nie chcę być tak blisko ciebie. – Posprzątam tu trochę.

– Po co sobie zawracać głowę? – Spen rozejrzył się wokół.

– Nie będę robiła wielkich porządków, ale sporo tu kurzu. Aż dziwne, że nie zauważyłam tego przedtem.

– Wcale nie dziwne. Tak tu ciemno, że mogłabyś nie zauważyć węża, póki byś na niego nie nadepnęła.

– Kiedy tu przyjeżdżałam z Martinem, nie zwracałam uwagi, czy jest czysto, czy nie, bo byłam dzieckiem. A może kazał pani Baxter posprzątać? Bo myślę, że Joe należy do typów, które nie widzą pajęczyny, póki się w nią nie zaplączą.

Sharley sprzątała kuchnię, zadowolona, że coś robi. Atakowała brud z wściekłością. Mogła choć przez ten czas uciec od myśli, które prześladowały ją, kiedy siedziała przed kominkiem i patrzyła w ogień. Ale nie pozbyła się bólu głowy. Dręczył ją od rana. Od czasu do czasu przerywała robotę, żeby odpocząć.

Zerkała w okno i widziała, jak Spen znosi pełne naczynia drewna na ganek. Wydawało jej się, że specjalnie marudzi, by nie wracać do domu. Coraz to zatrzymywał się, patrząc na niebo, a może obserwując ptaki. Czy również palił się do wyjazdu? Czy także trudno mu było zachować dystans?

Wniósł ostatnie naczynia polan. Potem starannie usunął popiół z kominka, nim zaczął rozpalać ogień.

Sharley w końcu dała spokój ze sprzątaniem. Usiadła wygodnie na kanapie. Zamknęła oczy. Głowa bolała ją coraz bardziej i czuła lekkie mdłości.

Spen odsunął się od kominka. Mały płomień trzeszczał wesoło.

– Zrobiłem tu bałagan – powiedział. – Przepraszam.

Sharley otworzyła oczy.

– Nic nie szkodzi. Nawet jeśli rozsypałeś popiół po całym pokoju. Ja sprzątnęłam tylko kuchnię.

– Wyglądasz na zmęczoną...

– Och, szyja mnie trochę boli. I głowa.

– Od upadku? – zaniepokoił się.

– Nie – potrząsnęła ostrożnie głową. – Jak obudziłam się rano, już mnie bolała.

Wzięłam aspirynę, ale nie wydaje mi się, żeby pomogła.

– Wyrzucę popiół i umyję ręce. Pomasuję ci szyję.

Kiedy wrócił, Sharley leżała już na brzuchu i prawie zasypiała. Usiadł na brzegu kanapy obok niej. Mruknęła, żeby jej nie przeszkadzał. Spen zignorował ten protest i zaczął masować jej szyję.

Jego ręce były ciepłe i mocne, i wkrótce poczuła łagodne gorąco w mięśniach szyi. To było bardzo relaksujące. Mimo woli wydała cichy okrzyk.

Palce Spena zatrzymały się.

– Zabolało?

– Nie – wykrztusiła z trudem. – W każdym razie to jest przyjemny ból. Poza tym – dodała dziecinnie – przynajmniej to możesz zrobić. Ostatecznie to przez ciebie czuję się tak parszywie.

– Przeze mnie? Dlatego, że cię tak popchnąłem?

– Nie, myślę, że to coś więcej. Czuję się prawie chora. Musiałam się od ciebie zarazić.

– Ale to nie była grypa. Nie zauważyłaś, że już nawet nie kicham?

– Wczoraj wyglądałaś właśnie tak, jak ja dzisiaj – upierała się. – To mogła być grypa, tylko ci już przeszła.

On coś tam mówił, ale nie chciało jej się dalej kłócić. Zamknęła oczy, utonęła w poduszkach i poddała się łagodnemu muskaniu jego palców. Nie wiedziała, że jego ręce są takie mocne. Przedtem dotykał ją tylko z czułością. Nawet teraz nie był to dotyk bolesny. Przeciwnie, był prawie zmysłowy.

Spen, jakby czytał w jej myślach. Zrobił kilka ostatnich, szybkich ruchów i zakończył masaż.

– To wszystko, co moje palce mogą zrobić – powiedział.

Sharley obróciła się. powoli na plecy i spojrzała na niego. Tarł oczy, jakby go bolały.

– Musiała mi wpaść sadza – tłumaczył się.

– Tarcie na pewno nie pomoże – chwyciła go za ramię. – Lepiej obetnij sobie rękę, zanim się oślepiasz!

Smętnie się do niej uśmiechnął.

– Chociaż nieźle byś wyglądał z czarną opaską na oku. Prawdziwy pirat. Jeszcze z tą brodą... – prawie nieświadomie dotknęła jego zarostu.

– Sharley... – powiedział cicho.

Ale ona nie usłyszała ostrzeżenia w jego głosie. Olśniła ją przekorna myśl: To miał być mój miesiąc miodowy! Mój miesiąc miodowy, miodowy miesiąc,

miodowy, brzmiało echem w jej głowie.

Czubki jej palców muskały dołek w jego brodzie. Dłoń pogłaskała policzek Spena. Odsunął jej rękę, ale ich palce splotły się i, jakby mimo woli, pochylił się nad nią. Usta miał rozchylone... Sharley zamknęła oczy.

Rozluźnił jej palce, ale tylko po to, aby wsunąć ręce pod jej ramiona i podnieść ją do pośledzającej pozycji. Objęła go za szyję.

– Jesteś tak piękna – wyszeptał.

Pocałował ją lekko, delikatnie, gorąco. Ta pieszczota, tak częsta w okresie ich narzeczeństwa, sprawiała, że trudno jej było pamiętać o danej sobie obietnicy, że będzie czekać aż do ślubu.

Palce Sharley błędziły teraz po jego brodzie, po uchu, wplątywały się we włosy. Czy byłoby to takie straszne, gdyby uległa temu szalonemu pragnieniu? To miał być jej miesiąc miodowy...

Ale nie był. I to z bardzo ważnej przyczyny.

Cofnęła się trochę, a Spen natychmiast ją puścił. Odwrócił się i zaczął pocierać sobie skronie, jakby jego też bolała głowa.

– Do pioruna, Sharley, znowu igrasz z ogniem.

Zagryzła wargi. Nie mogła uczciwie zaprzeczyć oskarżeniu, że to ona zaczęła, ale jednak...

– Chcę wierzyć, że masaż szyi nie był pretekstem!

– rzuciła ostro.

Spen nie odpowiedział. Wstał z kanapy, podszedł do kominka i dołożył polano do ognia.

– Jak myślisz, kiedy będziemy mogli się stąd wydostać? – zapytała.

– Jutro. Może. Miejmy nadzieję...

... Ponieważ dłużej nie możemy razem przebywać.

– Ta myśl wisiała w powietrzu.

Sharley przesunęła się na brzeg kanapy. Nie umiem nad sobą panować, pomyślała. I Spen to widzi. Muszę zmienić nastrój.

– Niepokoję się o Charlotte – zaczęła, jakby nic się nie zdarzyło. – Rozumiesz? Powiedziałam jej, że jadę na Wyspy Bahama. Wciąż myślę, co ona przeżyje, jeśli zadzwoni tam i dowie się, że mnie tam nie ma i nie było. Musiałam być szalona, że nie pomyślałam o tym wcześniej.

– Nic dziwnego, gdybyś była szalona.

– Co masz na myśli? – zaniepokoiła się.

– Ucieczkę od Charlotty.

- Ach, tak? Dlaczego? Kocham Charlotte. Jest dla mnie bardzo dobra.
- Dziwi mnie tylko, dlaczego zamiast popłakiwać nad twoim zawodem nauczycielki, nie zdołała jeszcze dopiąć tego, żebyś w ogóle niczego nie robiła.
- Dlaczego miałyby jej o to chodzić? – Sharley wstała i przeszła się po pokoju.
- Muszę pracować, żeby zarobić na życie.
- Och, naprawdę? – głos Spena zabrzmiał ironicznie.
- Nawet, jeśli Martin i Charlotta chcą mi zostawić wszystko co do grosza, czego wcale nie jestem pewna, to i tak będę pracować. Zawsze chciałam robić coś pożytecznego w życiu.
- Oczywiście – przytaknął Spen. – Dlatego musiała wybrać drogę okrężną.
- Nie rozumiem, o co ci chodzi.
- Nigdy ci nie przyszło do głowy, że twoja nieoceniona ciocia bardzo by chciała, żebyś dzień i noc siedziała przy niej?
- Nonsens. Na pewno nie chce przeszkadzać mi w moich planach. A że lubi, kiedy jestem przy niej... cóż... jest chora.
- Jakoś nie zauważyłem, żeby choroba jej przeszkadzała, jeśli ma ochotę coś robić.
- Co ty mówisz? Omal nie umarła zeszłej jesieni.
- Nie wątpię. Jeśli chce się odciąć od świata, to jej sprawa. Ale dlaczego próbuje urządzać twoje życie? Czyj to był pomysł, żeby wyremontować domek ogrodnika?
- Oczywiście, że Charlotty.
- A przedtem sugerowała, żebym po prostu przeniósł się do waszego domu.
- To absurd. Przez to chciała ci tylko powiedzieć, jak serdecznie przyjmuje cię do rodziny... – Sharley przerwała, poczuła skurcz w gardle.
- Naprawdę?
- Oczywiście. Dom jest za mały na dwie pary.
- Nie, miałem na myśli, czy jesteś pewna, że tak była rada mieć mnie w rodzinie? A może chodziło o to, żeby ciebie mieć jak najbliżej?
- Chcesz powiedzieć, że Charlotta była przeciwna naszemu małżeństwu? To jest prawie tak śmieszne, jakbyś powiedział, że to ona zaaranżowała scenę, na którą się natknęłam! Że to ona zerwała nasze zaręczyny! – patrzyła mu prosto w oczy. – Czy to właśnie chciałeś powiedzieć?
- Nie – westchnął Spen.
- To dobrze. Bo byłoby to najgłupsze podejrzenie w świecie.
- Poczuła się jeszcze gorzej. Głowa jej pękała. Może rzeczywiście bierze ją

grypa. Ma wszystkie jej objawy.

– Sharley, proszę... – Spen znów westchnął.

– Czy prosisz, żebym ci wybaczyła? Długo milczał. Wreszcie powiedział:

– Właściwie nie.

– Ponieważ nic złego nie zrobiłeś, czy tak? – jej słowa pełne były sarkazmu. –

Myślisz, że w to uwierzę? Ja wiem, co widziałam, Spen.

Dorzucił następne polano do ognia.

– Nie spodziewam się już niczego od ciebie, Sharley.

– To dobrze – powiedziała.

Głowa bolała ją coraz bardziej. Nic dziwnego. Poleży jeszcze chwilę, a potem pójdzie do Basterów. Trochę więcej niż kilometr, to nie jest tak daleko. Trochę dalej, niż szli dziś rano. Przynajmniej będzie z dala od domku. Z dala od Spencera.

Usiadła na kanapie. Głowa opadła jej na poduszki.

– Jak mogłam tak się co do ciebie pomylić? – powiedziała prawie do siebie.

Spen odwrócił się do okna.

– Ja zadaję sobie to samo pytanie.

Zapadło milczenie. Bolesne milczenie przerywane tylko cichym trzaskiem ognia.

Rozdział 7

Gdyby tylko Sharley miała dość energii, opuściłaby domek. Ale czuła się bardzo słaba. Po prostu nie miała siły.

Dlaczego ta kłótnia obeszła ją tak bardzo? – pytała siebie. Przecież niczego nie można porównać do ich pierwszego starcia, które doprowadziło do zerwania zaręczyn. W gruncie rzeczy, ta kłótnia była tylko kontynuacją tamtej walki.

Pierwsza nasza kłótnia... myślała sennie. W ciągu dwóch miesięcy od zaręczyn nigdy się nie sprzecznali, ani na temat planów dotyczących ślubu, ani urzędzenia domku, ani na temat wspólnego spędzania czasu.

Zasepiła się. Dlaczego się nigdy nie kłócili? Czy dlatego, że się zawsze zgadzali, czy też dlatego, że różnice zdań były głęboko ukryte? Stosunek Spencera do Charlotty w sposób oczywisty wskazywał na długo skrywaną antypatię, której Sharley nawet nie podejrzewała. A może Charlotta miała rację, że Spencer nie tyle interesował się samą Sharley, co siostrzenicą Martina Hudsona?

Chciałaby pójść do swego pokoju. Tam mogłaby skryć to, że taka jest słaba i zapłakana. Przekłęta grypa. Dlaczego dopadła ją właśnie teraz? Okropnie źle się czuła. Ale... przypomniawszy sobie, że kiedy Spen ją całował, ból głowy, mdłości i ból w piersiach niemal zupełnie zniknęły. To prawda. Trudno byłoby mu zarzucić, że nie jest dobry w takich sprawach. Od ich pierwszego wieczoru, w czasie przyjęcia przed Bożym Narodzeniem, myślała tylko o nim. Całował ją namiętnie, oszłamiająco. Nie mogła doczekać się dnia ślubu. Przez te jego pocałunki była już bardzo bliska tego, żeby, jak to się mówi, stracić cnotę. Może dlatego poszedł do Wendy? Dlatego, że Sharley z nim nie spała?

Nie wpędzaj się w histerię głupimi pytaniami, skarciła się w myślach. Jeśli dlatego to zrobił, powinnaś być rada, że sprawy potoczyły się tak, jak się potoczyły. Mężczyzna, który uważa, że powściągliwość narzeczonej to dostateczny powód, żeby mieć romans, nie jest dobrym kandydatem na męża, to pewne.

Ale dlaczego, wiedząc to wszystko, ciągle czuła się bliska płaczu?

Przez kilka godzin zasypiała i budziła się znowu. Zbudzona czy śpiąca myślała wciąż o tym samym. Raz wydawało się jej, że zapytała: Jeśli kochałeś ją, Spen, dlaczego oświadczyłeś się mnie? Ale to chyba jej się śniło. To musiał być sen, bo kiedy rozejrzała się wkoło, Spen siedział na krześle, odwrócił głowę i zapytał:

– Potrzebujesz czegoś, Sharley?

– Niczego, dziękuję – szepnęła zadowolona, że nie wypowiedziała tego pytania

głośno.

Ale myśli dręczyły ją nadal. Czy jemu szło o pieniądze? Czy miał nadzieję, że będzie dziedziczyła po Martinie, a wtedy byłby pewny nie tylko pracy w Hudson Products, ale i tego, że przejmie całą firmę.

Serce jej mówiło, że to nie jest prawda. Spen nie należał do ludzi zdolnych do takiej perfidii. Chyba byłaby go w stanie zrozumieć, nawet gdyby tak było. Niewiele miał poczucia bezpieczeństwa w życiu, zanim Martin dał mu szansę. Czyż byłoby to takie dziwne, gdyby Spencer trzeźwo spojrział w przyszłość i zdecydował się wzmocnić swoją pozycję, wiążąc się z przyszłą właścicielką Hudson Products?

Ale tak nie było, upewniała się. Mężczyzna, którego kochała, nie był zdolny do takiego myślenia. Spen kochał ją naprawdę. Lecz nie mogła się pogodzić, że w tak oczywisty sposób została oszukana.

I znów urągała sobie, że jest głupia. Przecież mężczyzna, którego kochała, zdradził ją. Wierzyła, że jest rycerzem bez skazy, a on nim nie był.

Mężczyzna, którego kochała... i czyż nie jest to mężczyzna, którego wciąż, pomimo wszystko, kocha?

To pytanie, jak trzęsienie ziemi, wprawiało każdą komórkę jej ciała w drżenie.

Kiedy się naprawdę kocha, uczucie nie może po prostu umrzeć, tylko dlatego, że miłość natrafia na przeszkodę nie do pokonania. I nawet, kiedy to pierwsze rozczarowanie jest wielkie, tak jak było z Sharley, miłość nie znika w jednym mgnieniu.

To musi trwać, zanim o nim zapomnę, powtarzała sobie wiele razy. Lecz co robić, jeśli upływ czasu nie wystarcza? Co, jeśli pomimo epizodu w domku ogrodnika, pomimo zerwania zaręczyn, pomimo ostrych słów i kłótni, ona go jednak wciąż kocha? Kocha go i rozpaczliwie pragnie mu zaufać.

„Masz moje słowo, powiedział, jeśli mnie naprawdę kochasz, zaufaj mi”. I znów od początku. Spodziewał się, że uwierzę w jego niewinność. Jeśli jest niewinny, epizod w domku musi mieć jakiś powód. Więc dlaczego, na Boga, jeśli jest wytłumaczenie, nie powiedział jej, co się naprawdę wydarzyło?

Sharley przymknęła oczy i powróciła do tego słonecznego popołudnia, kiedy świat był jeszcze pełen miłości, wiary i nadziei.

Stała w drzwiach pokoju, zauważyła ich nową, skórzaną kanapkę – specjalny model dla zakochanych, w kształcie litery „S”, żeby można było siedząc patrzeć na siebie i całować się – i ujrzała głowę i plecy Spena oraz falę lśniących, czarnych włosów Wendy, spadającą na jego ramię...

Nie, to nie mogło być żadną pomyłką. Wendy była w jego ramionach, bo kiedy skoczył na nogi, ona prawie że ześlizgnęła się na podłogę.

Może Wendy tak to sobie zaplanowała? Może, gdy usłyszała, że Sharley się zbliża, rzuciła się Spenowi w ramiona.

Koszmar. Chwytasz się brzytwy, przyznała, byle tylko go usprawiedliwić.

I co on powiedział? „Tak dalej być nie może, Wendy”. Coś w tym rodzaju. Nie, Spen wiedział dokładnie, co robi. I nawet nie próbował się tłumaczyć, że zerwał z dawną kochanką. Było jasne jak słońce, że kłamał jak najęty.

A jednak, słyszała brzmienie nuty strasznego bólu w jego głosie. Tak, jakby poświęcał się dla kogoś bez granic.

A jeśli kochał Wendy...

Głowa Sharley wprost pękała z bólu. Muszę z tym skończyć, mówiła do siebie, bo dostanę kręcka. Czuję się tak, jakbym leciała na łeb, na szyję kolejką w wesołym miasteczku...

Rozum stale mówił jedno, a serce zupełnie co innego. I prawdą było, że chciała wierzyć sercu. Ponieważ kochała go wciąż, bez względu na to, co się zdarzyło.

Jęknęła z bólu. Spen podniósł się z krzesła, podszedł i położył rękę na jej czole.

– Chyba nie masz gorączki – powiedział. – Może chcesz soku pomarańczowego? Jeszcze trochę zostało.

Sharley kiwnęła głową. Uniosła się do pozycji półleżącej. Zakreśliło się jej w głowie od tego wysiłku.

Chłodny napój bardzo jej smakował. Jednym haustem wypila pół szklanki. Wtem zdała sobie sprawę, że póki pije, Spen przy niej siedzi. Zaczęła więc powoli saczyć resztę. Jeżeli to będzie długo trwało, może on się w końcu odezwie.

Jej mózg nie działał sprawnie. Nie mogła przestać myśleć o jednym. Próbowwała powstrzymać te myśli. Daremnie. Wbrew sobie powiedziała:

– Chcę ci wierzyć. Ale jak mogę?

Przez chwilę myślała, że ma zamiar zignorować ją całkowicie. Po chwili jednak odezwał się:

– Nie mam na to żadnej odpowiedzi, Sharley. Albo możesz, albo nie możesz. Skończyłaś sok?

– Nie, nie skończyłam. Spen, proszę... Powiedz mi tylko, co się stało?

Zacisnął usta, ale jego głos brzmiał spokojnie.

– Jeśli ci powiem, nic dobrego z tego nie wyniknie. Przeciwnie, będzie jeszcze gorzej.

– Nie cierpię, jak tak mówisz – Sharley z trudem powstrzymywała łzy. –

Mówisz cholernie mądrze, panie Greenfield! Ale nic z tego nie można zrozumieć. Ani słowa. Tak, jakby mówił Marsjanin!

Ręce jej drżały tak bardzo, że reszta soku o mało nie wylała się na podłogę.

– Wiem, wydaje ci się to idiotyczne, że nie chcę ci powiedzieć. – Wyjął szklankę z jej ręki.

– To jest bardziej niż idiotyczne! To jest wstrętne! Obrażasz mnie.

Zbladł.

– Wierz mi, Sharley, tak jest najlepiej.

– I tylko ty decydujesz o tym? Ja nie mam nic do powiedzenia?

– Czy mam ci powiedzieć prawdę i zaraz zapytać, czy nie wolałabyś usłyszeć jednak kłamstwa?

– Prawda nie może być gorsza, niż to co jest.

– Może być gorsza. A co raz zostanie powiedziane, nie da się cofnąć. Uwierz mi. Chciałbym, żeby było inaczej. – Cierpienie w jego głosie było niewątpliwe. Sharley poczuła jakby czop w gardle. Nie mogła mówić. A Spen przeciągał milczenie. – Trzeba się z tym pogodzić, Sharley, niestety. Ty nie możesz mi uwierzyć, a ja... ja nie mógłbym kochać kobiety, która mi nie ufa. Dostyc już cierpimy oboje. Zapomnijmy o tym. Skończmy z tym na dobre. Jesteśmy kwita. Załóżmy, że niczego nie było.

Potrząsnęła głową, ale był to raczej gest bezradności niż sprzeciwu. To koniec, powiedziała sobie. On ma rację. Musisz przejść przez to z godnością, Sharley. Tylko to ci pozostało.

– Zrobiliśmy dosyć błędów – powiedział cicho. – Po co dodawać nowe?

Ciągle jeszcze nie mogła mówić. Wreszcie powiedziała schrypniętym szeptem:

– Chyba to już nie ma znaczenia...

– Tak. Nie ma. – Pogłaskał jej rękę i odszedł ze szklanką do kuchni.

Siedziała nieporuszona, wpatrzona w tę swoją rękę. Kiedy czubki jego palców dotykały jej gładkiej skóry, przez każdą komórkę ciała Sharley zdawał się przechodzić prąd. Chyba chciał tym gestem dodać jej odwagi, ale stało się przeciwnie, uczynił ją tylko bezgranicznie smutną.

Sharley powoli wracała do rzeczywistości, a kiedy oprzytomniała już całkiem, zdała sobie sprawę, że czuje się fatalnie. Potrzebowała Libby. Libby, nie Charlotty.

Charlotta, sama chorowita, nie była pomocna w chorobie. A gosposia Hudsonów wiedziała, co wtedy robić. Rozumiała, że chora może się poczuć znacznie lepiej, gdy na przykład dostanie czystą piżamę.

Tak, to dobrze, że Charlotta nic nie wie. Nie wie, że Sharley jest tu w lasach sama... to znaczy – chora...

Ale właściwie, dlaczego Charlotta miałyby nie wiedzieć? Będzie zdenerwowana, naturalnie, a wiadomo, że nie powinna się martwić. Ale przecież Sharley jest dorosła. Ma prawo być chora, jeśli tak jej się podoba.

Próbowała uśmiechnąć się, przecież to czysty idiotyzm!

Co do Charlotty to może Spen ma rację. Prawda, że jest trochę zaborcza i nadopiekuńcza. Postępuje tak, jak uważa za słuszne. Jasne, że chce mieć siostrzenicę blisko siebie. Nie ma nikogo poza nią, no i Martinem, oczywiście. Nie, Spen jest za surowy dla Charlotty.

Sharley zapadła znowu w sen.

Nie wiedziała, ile czasu upłynęło, kiedy się ocknęła. Zobaczyła, jak przez mgłę, postać pochyloną nad sobą. Jakieś ręce ścisnęły jej ramiona, potrząsały nią tak mocno. Krzyknęła.

– Bogu dzięki! – zabrzmiał ochryply głos. – Nie mogłem cię dobudzić. Musimy stąd uciekać.

– Nie chcę... Nic nie chcę... Jestem chora.

– Wiem, że jesteś chora. Nie zdawałem sobie sprawy, jak bardzo jesteś chora.

– Złapałam grypę. Zostaw mnie... w spokoju.

– To nie grypa, Sharley.

– A co? Mój upadek?

– Nie. To jest czad. Tlenek węgla. Musimy się stąd wydostać.

Wiedziała, że to, co powiedział, powinno być dla niej ważne. Ale dlaczego? Dlaczego? Nie mogła sobie uświadomić, dlaczego. Tlenek węgla... Chciała leżeć spokojnie i myśleć o tym. Może przypomni sobie, kiedy w głowie przestanie jej łomotać.

Dotarł do jej świadomości ostry głos Spena:

– Słuchaj! Jeśli będę musiał, to cię wyciągnę stąd za włosy! Do diabła, Sharley! Musisz mi pomóc. Nie dam rady cię nieść.

To nieco podrażniło jej próżność.

– Nie jestem taka ciężka – zaprotestowała słabo.

Było okropnie zimno w pokoju. Rozejrzała się półprzytomnie. Wszystkie drzwi były otwarte. I chyba szyby w oknach zostały powybijane.

– Spen – powiedziała z resztką godności, na jaką mogła się zdobyć – Martin nie będzie zadowolony, gdy zobaczy, co zrobiłeś z jego domkiem.

– Do diabła z Martinem i z jego domkiem! Twój mózg dostaje za mało tlenu.

Co proponujesz? Mam cię wachlować gazetą?

Pomógł jej wstać. Miała zawroty głowy i nie mogła utrzymać równowagi. Ubrał ją i pociągnął do drzwi. Zachwiała się na oblodzonym ganku. Wbrew temu, co mówił, że nie jest w stanie jej nosić, podniósł ją.

– Nie kręć się! – rozkazał i przeniósł ją kilka metrów do samochodu.

Wepchnął bezceremonialnie na miejsce obok kierowcy. Zostawił otwarte drzwi i zaczął wracać do domku.

Sharley wychyliła się i chwyciła brzeg siedzenia, żeby utrzymać równowagę.

– Po co tam jeszcze idziesz? – krzyknęła za nim.

– Po popiół, który wybrałem z kominka.

– A po co popiół?

– Wysypię go na tę pochyłość. Potem trochę popchnę samochód i może się stąd jakoś wyrwiemy.

– Teraz, kiedy już wyszliśmy, wszystko będzie dobrze, prawda?

– To nie takie proste, kochanie. Potrzebujesz pomocy lekarskiej.

Pochylił się nad nią na chwilę. Odgarnął włosy z czoła. Ciepły dotyk palców przyjemnie musnął twarz.

Co się stało z moim mózgiem? Głowa Spena funkcjonuje dobrze, więc dlaczego moja nie?

– Nie zapomnij głęboko oddychać – przykazał.

Sharley nie wiedziała, jak długo go nie było. Przyszedł, zamknął z jej strony drzwi i wślizgnął się za kierownicę. Ręce miał brudne od popiołu. Włączył stacyjkę.

– A jak z tobą? – zdołała zapytać. – Ty też tam byłeś.

– Ze mną okay. Nie byłem tak długo w zamknięciu, jak ty.

Kilka razy usiłował uruchomić silnik, nim wreszcie zaskoczył. Zobaczyła, że Spen przymknął oczy na sekundę, jakby za to dziękował.

– Bo byłeś na powietrzu, kiedy nosiłeś drzewo, a ja sprzątałam?

– Właśnie – wziął głęboki oddech. – Jedziemy. Pomódl się, kochanie.

Sharley posłusznie zaczęła nucić:

– „Kiedy układam się do snu, modlę się o... „

– Tylko nie to, do diabła! – powiedział ostro. – Proszę cię, tylko nie to!

Zupełnie nie rozumiała, o co mu chodzi, ale zanim zdążyła zapytać, Spen puścił sprzęgło i ostrożnie dodał gazu. Prawie natychmiast wykręcił i zjechał z pagórka, aż Sharley zakołysała się gwałtownie na siedzeniu.

– Och, jakbym jechała zwariowaną kolejką w lunaparku!

– Ciesz się, że jedziesz.

Teraz Spen próbował cofnąć wóz na oblodzoną, ale posypaną popiołem ścieżkę.

– Udało się! – krzyknęła uradowana.

– Obawiam się, że to tylko pierwsza przeszkoda. Dróżka prowadziła w dół, ku szosie, i samochód zaczął nabierać szybkości. Spen lekko nacisnął na hamulec, ale z małym skutkiem.

– Trzymaj się! – krzyknął, kiedy samochód nagle zarzuciło ze złowieszczym łomotem. – Przepraszam. Ale utrzymać samochód w tych warunkach, to niezła sztuka. – Popatrzył przed siebie na następny pagórek i westchnął.

Sharley ziewnęła.

– Nie ziewaj! – ostrzegł Spen. – Proszę cię, rób co chcesz, ale nie usypiaj! Do diabła! Powinienem się domyślić, że coś jest nie w porządku. Ten ostry, duszny zapach... Ale wszystko było tam zamknięte tak długo i takie zakurzone... Myślałem, że dlatego...

Sharley, mimo że trzęsła się z zimna, była śpiąca.

– Jak to się właściwie stało? – zapytała.

– Kiedy paliwo nie dopała się do końca, wydziela wilgoć i trujące gazy. Ta wilgoć to jedyna oznaka, bo tlenek węgla nie ma zapachu. Ale ja byłem przekonany, że domek ma bez liku szpar, więc nie zwróciłem uwagi na to, co było oczywiste.

– To co? Kominek nas podtruwał?

– Nie wiem. Pęknięty komin mógł spowodować, że gazy przenikały z powrotem do domku. Albo zapchany przewód do kuchenki. A może wiewiórka wybudowała sobie gniazdo w rurze od pieca. Nie było już czasu, żeby to sprawdzić.

Samochód wspinał się na wzgórze bardzo powoli. Czasem wydawało się, że posuwa się na boki, a nie naprzód. Spen prowadził bardzo ostrożnie. W końcu wdrapali się na szczyt.

– Dlaczego Martin nie zauważył, że coś jest nie w porządku? – spytała Sharley.

– Pewnie nie było nic do zauważenia, jak tu był ostatnio. Nie przyjeżdżał chyba z rok, prawda?

Sharley potaknęła. Nie spuszczała oczu z drogi.

– I nie było powodu, żeby dozorca wszystko sprawdzał, bo nie spodziewał się, że zimą ktoś tu będzie. Inna sprawa, że to już niedbalstwo, iż nie zrobił tego, kiedy Martin go zawiadomił o moim przyjeździe. Ale on, prawdopodobnie, jak ja, myślał, że domek ma tyle szpar, iż jest w nim aż za dużo powietrza.

Sharley patrzyła na następny pagórek. Był wyższy niż te, które pokonali, i w połowie drogi zwalone drzewo limby częściowo blokowało przejazd. Przymknęła oczy i pomyślała, że Spen jakoś sobie z tym poradzi.

– Zastanawiam się, czy to aby nie lód tak wszystko uszczelnił – rozmyślał Spen. – Jakby cały budynek włożono w plastikowy worek. I im dłużej byliśmy wewnątrz... – zwrócił się ku niej gwałtownie: – Mów do mnie, do pioruna! – rozkazał. – Nie odgrywaj się na mnie, Sharley! Rozmawiaj ze mną!

Sharley otworzyła oczy i patrzyła na szosę bez wielkiego zainteresowania. Najgorsze było za nimi. Zobaczyła ciemny cień przy drodze. To był dom. Tu mieszka Joe Baxter.

Spen zjechał z szosy na boczną, żuźlową drogę. Ręka mu drżała, kiedy wyłączał silnik.

– Wygląda, że i tu nie ma prądu. Siedź spokojnie. Wysiadł z auta, zostawił drzwi otwarte i udał się w kierunku domu. Sharley chciała ponarzekać na przeciąg, ale nie miała dość siły, żeby wydobyć głos. Zaczęła powoli gramolić się z auta.

Usłyszała, że Spen stuka do drzwi. Były otwarte. Niedźwiedziowaty mężczyzna wyszedł na próg. Spen powiedział do niego ostro:

– Muszę zawieźć pannę Collins do szpitala.

– Sharley? Co się stało? Niech pan wejdzie. Wezwiemy karetkę.

– Karetką może się tu dostać?

Kiedy dokuśtykała do domu, usłyszała słowo „karetką”. Karetką dla niej? Nigdy nie była aż tak chora, żeby potrzebowała karetki pogotowia. Zaczęła protestować.

Spen obrócił się ku niej.

– Powiedziałem ci, żebyś siedziała spokojnie.

– Było mi zimno – uzaliła się.

Wziął ją w ramiona. Joe Baxter szeroko otworzył drzwi.

– Telefon u pana działa? – spytał Spen i położył Sharley na tapczanie, blisko otwartych drzwi.

– Wysiadł, przez te mrozy. Ale mamy radio C. B. W czym problem?

Sharley zobaczyła ulgę na twarzy Spena. Opowiedział krótko Baxterowi, co się stało w domku w lesie.

Twarz Joego stężała, ale nie powiedział ani słowa. Zniknął w głębi domu.

Sharley szukała dłoni Spena, ale nie mogła jej dosięgnąć, a była zbyt słaba, żeby się poruszyć.

– Teraz już wszystko będzie dobrze – wymamrotała.

Spen próbował się uśmiechnąć.

– Ta-ak. Będzie dobrze. Jak tylko karetka tu dojedzie.

Tapczan stał blisko dużego, staroświeckiego pieca i Sharley wkrótce przestała drżeć z zimna. Popadła w stan półświadomości. Usłyszała, jak Joe powiedział, że karetka jest już w drodze, ale jej to jakby nie dotyczyło.

Spodziewała się, że Spen zaraz skrzyczy ją za to, że zamyka oczy... Lecz jakoś tego nie robił.

Nawet hałas, jaki zrobili ludzie z pogotowia, tylko częściowo ją rozbudził. Półświadomie odgadła, że teraz mierzą jej ciśnienie i badają puls. Wiedziała, że założyli jej maskę na twarz, bo poczuła, jak zimny strumień tlenu zaczyna łagodzić jej udreżone płuca.

– Jakie to szczęście, że panowie byli w tej okolicy – powiedział Baxter.

– I rzeczywiście – mruknął lekarz pochylony nad Sharley.

Spojrzała na Spena. Oczy jej się rozszerzyły z przerażenia, kiedy zdała sobie sprawę, jakie to było poważne.

Zgarnął włosy z jej twarzy, odsuwając je daleko od maski.

– Będzie w porządku, Sharley. Oni się tobą dobrze zaopiekują...

I wtedy zobaczyła, że Spen, jak marionetka, której sznurki zostały odcięte, po prostu zwinął się i upadł na podłogę.

Rozdział 8

Sharley usiadła. W głowie jeszcze bardziej jej się kręciło z powodu zamieszania wokół niej. Sanitariusz podłożył rękę pod jej ramię i ściągnął ją w dół, na nosze. Dwu innych zajmowało się Spenem.

– Czy on też był w tym domku? – zapytał jeden z nich.

Jej głos był zduszony przez maskę tlenową, odpowiedziała z trudem:

– Tak. On mnie wyniósł. Zaniósł mnie do auta.

– Zaniósł panią? O, do diabła! – zaklął lekarz.

– Ale on wyzdrowieje, prawda? – nalegała Sharley.

– Oczywiście, że wyzdrowieje. Niech się pani teraz położy i skoncentruje na oddychaniu, tak wolno i głęboko, jak tylko pani potrafi.

Ale doktor nie powiedział jej prawdy. Nie był pewien, czy Spen wyzdrowieje. Sharley czuła intuicyjnie i to rozjaśniło jej umysł, jak nic innego nie było w stanie go rozjaśnić.

– Zrobił sobie krzywdę, ratując mnie, prawda?

Lekarz popatrzył na nią przez chwilę.

– To mu nie pomogło – przyznał. – Ale on jest duży i silny. Ma więcej od pani krwi, więc może więcej znieść niż pani.

Ale niewiele więcej, pomyślała Sharley. Chociaż był na dworzu przed południem, to i tak później oddychał tym samym powietrzem przez całe godziny i tak jak ona słabł powoli. Dlatego powiedział, że nie da rady jej nieść.

A potem zrobił to jednak. Dobrze pamiętała. Nie wiedziała nawet co się stało, a on zajął się wszystkim. Obojgu uratował życie. Przynajmniej miała nadzieję, że ocalił ich oboje.

Jedynie adrenalina musiała utrzymywać jego aktywność, więc nic dziwnego, że kiedy napięcie minęło, zemdlał.

Mogła wykręcić głowę tak, żeby zobaczyć go kątem oka. Twarz pod maską tlenową była zaczerwieniona i bez wyrazu. Oczy zamknięte. Widziała, jak przenosili go na nosze, całkiem bezwładnego.

– W porządku, jesteśmy gotowi do transportu – powiedział jeden z sanitariuszy.

Joe Baxter pomógł wynieść ją na dwór. Na podwórzu nie czekała karetka, lecz helikopter. Silnik miał włączony i ostrzegawcze światelka wciąż migotały. Na jednym boku wymalowano nazwę szpitala. Był do duży ośrodek medyczny, znany z tego, że posiada własną służbę pogotowia.

– Helikopter? – zapytała słabo.

Sanitariusze umieścili jej nosze naprzeciw noszy Spena.

– Wiejskie drogi są ciągle nieprzejezdne, więc wezwaliśmy helikopter – tłumaczył jeden z sanitariuszy.

Spojrzała na drugie nosze.

– Cieszę się, że jesteś tu – szepnęła, choć on tego nie słyszał.

Helikopter wystartował. Sharley poczuła straszliwe rzucanie. A może to dlatego, że wciąż bolała ją głowa, choć już nie tak bardzo jak przedtem.

Ja jestem uratowana, pomyślała. Ale on? Narażał swoje życie dla mnie, a ja nie mogę mu nawet podziękować ani powiedzieć mu, że wszystko będzie dobrze.

Zamknęła oczy i słowa dziecinnej modlitwy, którą zaczęła nucić w aucie, znowu przyszły jej na myśl: „Kiedy układam się do snu”. Spen wrzasnął na nią, żeby tego nie śpiewała, a jej umysł był tak zamglony, że nie rozumiała, dlaczego. Teraz wie. Dalej to szło tak: „Gdybym umarła, zanim się obudzę”.

Nie! – pomyślała z trwogą – oni nie dopuszczą do tego. Spen nie może umrzeć.

W szpitalu, na ostrym dyżurze, Sharley zastanawiała się, która może być godzina? Mogło być południe albo... Nie miała najmniejszego pojęcia. Było ciemno, kiedy Spen wyniósł ją z domku. Ile czasu zajęło im dotarcie do Baxterów? Jak długo czekali na helikopter? Próba odtworzenia tego wszystkiego przyprowadziła ją o silniejszy ból głowy. Zamknęła oczy i biernie leżała, kiedy się nią zajmowali, cały czas dręcząc się myślą, że w pokoiku obok jest Spen i prawdopodobnie nie zdaje sobie sprawy, że walczą o jego życie. Nie poruszył się, kiedy wynieśli go z helikoptera i wieźli do szpitala. Czyżby tlen jeszcze nie skutkował? Gdyby nie pojechała do domku, rozważała, toby się w ogóle nic nie zdarzyło. A przynajmniej Spen nie doprowadziłby się do takiego stanu wyczerpania, kiedy ją ratował. Jednak nie, mógłby umrzeć. To jest bardziej prawdopodobne. Ostrzeżeniem dla niego stało się to, że tak trudno było ją dobudzić. Gdyby jej tam nie było, mógłby niczego nie zauważyć. W każdym razie, co się stało, to się stało. Cofnąć tego już nie można. A gdyby można było cofnąć czas, cofnęłyby go dużo dalej, niż do chwili przyjazdu do domku w lesie. Cofnęłyby czas do tego piątkowego popołudnia, kiedy wróciła ze szkoły i poszła prosto do domku ogrodnika. A mogłyby przecież pójść od razu do dużego domu. Wtedy nic nie wiedziałyby o Wendy, ślub by się odbył według planu, a ona i Spen mieliby swój miodowy miesiąc na Wyspach Bahama, zamiast z trudem łapać teraz oddech w szpitalu.

Przez chwilę pograżyła się w marzeniu o słońcu, o piasku, doskonałej harmonii,

o śmiechu, o miłości... Gdyby tylko nie poszła do domku ogrodnika i nie zobaczyła go z Wendy...

Powróciła do rzeczywistości, przerażona, jak rozsądnie ten scenariusz wygląda. Jaki ze mnie struś, powiedziała sobie. Udaję, że niebezpieczeństwa nie ma, skoro go nie widać! Nawet jeśli definitywnie zerwał romans z Wendy, nie znaczy to, że wszystko byłoby potem różowe. Mężczyzna, który nie jest wierny swojej narzeczonej, prawdopodobnie nie będzie także wierny żonie. Niezależnie od tego, jak dobre miałyby intencje. Wendy mogłaby wcale nie być ostatnią...

To nie jest tak, jak myślisz, powiedział.

Ale czy to możliwe, że powiedział prawdę? Jeśli jej interpretacja incydentu w domku była błędna, to jaka mogłaby być prawdziwa?

I znów od początku. Albo mu uwierzyć, albo nie. Nie ma drogi pośredniej. Albo kochać go takim, jakim jest, albo przyznać, że nigdy naprawdę go nie знаła, to znaczy, że nie kochał jej i była tylko środkiem do osiągnięcia innego celu.

Wczoraj wieczór, w domku, musiał chyba zdawać sobie sprawę z ryzyka. Musiał wiedzieć, że najmniejszy wysiłek wzmaga niebezpieczeństwo. A mimo to działał dziko, szaleńczo, bez najmniejszej myśli o sobie, żeby tylko ją uratować. I w momencie, kiedy już była pod opieką lekarzy, zemdłał. Tak jakby jego zadanie zostało wykonane i już dłużej nie musiał dbać o nic.

To znaczy, że kocha mnie, myślała. Nikt by mu nie miał za złe, gdyby mnie po prostu wyciągnął na świeże powietrze i zajął się sobą. Jeśli poświęcał siebie, żeby mnie ocalić, to znaczy, że kocha...

– Przeniesiemy teraz panią do innego pokoju – powiedziała jedna z pielęgniarek. Ledwie to doszło do Sharley.

Gdybym tylko mogła mu powiedzieć, że rozumiem... myślała dalej.

Pchali jej łóżko na kółkach przez szeroki korytarz. Zatrzymali się, żeby przepuścić łóżko z innym pacjentem. Sharley zobaczyła zmierzwione, ciemne włosy.

– Spen! – krzyknęła. Próbowała położyć rękę na jego łóżku, zatrzymać sanitariuszy, ale jej się nie udało. Mogła jedynie spojrzeć na niego, kiedy łóżko przejeżdżało obok. Obrócił głowę i zobaczyła, że oczy ma otwarte. Odetchnęła z ulgą, chociaż nie było w nich zwykłego blasku. Obudził się już. To wystarczyło, żeby dać jej nadzieję.

Lekko zmarszczył czoło i coś powiedział. Przez maskę tlenową trudno było usłyszeć, co mówi, ale Sharley mogłaby przysiąc, że powiedział: „To nie byłem ja”.

I już go zabrali. Nie mogła więc ani go dotknąć, ani powiedzieć, jak bardzo docenia to, co dla niej zrobił, ani nawet szepnąć, że go kocha.

Będzie jeszcze na to czas, powiedziała sobie. Jestem pewna.

„To nie byłem ja”, powiedział. Co, na miłość boską, miał na myśli?

Martin dotarł do szpitala nad ranem. Sharley już się obudziła, już zmierzili jej temperaturę, już pobrali po raz drugi krew, więc pielęgniarka pozwoliła mu wejść na kilka minut. Stał cicho przy łóżku i tylko na nią patrzył.

Zdziwiła się, widząc go.

– Jak się dostałeś tutaj?

– Joe Baxter mnie zawiadomił. Od razu zadzwoniłem do szpitala i powiedzieli mi, że czujesz się dobrze, ale... – Nawet w przyćmionym świetle dostrzegła w jego oczach łzy.

Sharley nie mogła znieść myśli, że Martin tak się o nią zamartwia.

– Ale przecież drogi są oblodzone i w ogóle...

– Och, główne szosy są w dosyć dobrym stanie. Tylko boczne wciąż jeszcze nieprzejezdne.

– Więc jechałeś tu nocą?

– Musiałem się upewnić, że moja dziewczynka już się czuje dobrze – uśmiechnął się. – Nie wiedziałem, co robić, kiedy dostałem wiadomość od Baxtera, że helikopter zabrał cię z jego domu. Myślałem, że to jakaś pomyłka, że może Spencer miał wypadek i ktoś coś poplątał. Bo przecież nie miałem pojęcia, że byłeś w moim domku... A kiedy okazało się, że to naprawdę ty...

– Przepraszam cię, wujku Martinie. Powinnam ci była powiedzieć, że nie wybieram się na Wyspy Bahama.

– To by nam oszczędziło trochę zmartwień. – Rzucił na nią przeciągłe spojrzenie. – Czy ty i Spencer doszliście do porozumienia?

– Nigdy nie tracisz nadziei, wujku Martinie? – Sięgnęła po szklankę z wodą ze stolika przy łóżku. – Nie, nie pogodziliśmy się. Widziałeś go?

– Jeszcze nie.

Przytrzymał szklankę, kiedy na chwilę odsunęła z twarzy maskę tlenową. Zimna woda bardzo jej smakowała.

– Czy Charlotta bardzo się na mnie gniewa?

– Za to zniknięcie? Nie wiem, czy można to nazwać gniewaniem. Bardzo się martwi, oczywiście.

– Nie przyjechała z tobą?

- Bała się jechać nocą. Libby ją przywiezie.
- To dobrze. – Sharley założyła znów maskę.
- W każdym razie, nie ma sensu, żeby tu siedziała godzinami.
- Sharley, okropnie mi przykro – Martin miał rondo kapelusza. – To moja wina.

Wszystkiemu jestem winien ja. Przysporzyłem ci tylu zmartwień, moje kochanie...

– Głos mu drżał. Po raz pierwszy, odkąd go Sharley pamięta, wyglądał na swój wiek.

- To był wypadek. Nie powinieneś się obwiniać.

Pielęgniarka zajrzała przez drzwi.

- Trzeba już kończyć, panie Hudson. Panna Collins powinna odpocząć.
- I ty też, wujku Martinie. Zobaczymy się później.

Spojrzał na nią ze smutkiem, tak jakby chciał zapamiętać każdy szczegół jej twarzy. I zwrócił się ku drzwiom.

– Sprawdziłam, jaki jest stan pana Greenfielda – poinformowała pielęgniarka. – Czuje się znacznie lepiej po silnej dawce tlenu. Ale jest jeszcze na oddziale intensywnej terapii i lekarz nie pozwala na wizyty. Przynajmniej do jutra.

- Silnej dawce? – Sharley usiadła. – Co to znaczy?

– Tlen pod ciśnieniem. – Ton głosu pielęgniarki był ciepły i uspokajający. – Ten zabieg powinien szybciej usunąć z krwi truciznę. Teraz niech się pani zrelaksuje i spróbuje usnąć.

Sharley osunęła się na poduszki. Serce jej mówiło, że Spen jest w znacznie gorszym stanie niż ona. Przecież tak długo nie mógł się obudzić! Leżała spokojnie, bardziej przytomna niż przez cały dzień. Słyszała z oddali wycie syren karettek pogotowia, obsługujących ostry dyżur. Cieszyła się, że Spen czuł się teraz znacznie lepiej. Uczepiła się tej informacji. I jutro, kiedy będzie wolno go odwiedzać, pójdzie do niego, podziękuje za uratowanie życia i zapyta, co miał na myśli, mówiąc te kilka słów na korytarzu.

„To nie byłem ja”. Czy mówił o scenie w domku ogrodnika? Ale to śmieszne. Niemożliwe, żeby się mogła pomylić. Była w tym samym pokoju. Mówił do niej.

O co prosił? I w co miała uwierzyć? Że uległa halucynacji, widząc Wendy w jego ramionach? Albo że ma bliźniaka gdzieś ukrytego, bliźniaka, o którym nikt w Hammond^ Point nigdy nie słyszał?

Oszukujesz się, powiedziała sobie, żeby tylko znaleźć usprawiedliwienie. Może mówił o czymś zupełnie innym. Musi po prostu poczekać do rana. Jak tylko lekarz ją zbada i wypisze, pójdzie do Spena.

Ale poranek zawiódł jej oczekiwania. Zamiast szczerzej, pogodnej rozmowy z lekarzem, zakończonej decyzją wypisania jej do domu z listą zaleceń na okres rekonwalescencji, zawieszono ją na dół, na oddział neurologiczny. Tam miała być poddana całej serii badań.

– Jeśli ktoś cierpiał na brak dopływu tlenu do mózgu – wyjaśniał lekarz – istnieje poważna obawa zmian neurologicznych. W pani przypadku ryzyko jest niewielkie, ponieważ bardzo szybko została pani poddana leczeniu, ale nierozsądnie byłoby tego nie sprawdzić.

Sharley musiała się z tym zgodzić. Ale kiedy odwieźli ją już z powrotem do jej pokoju na lunch, mogła zjeść tylko kilka łyżek zupy, a potem napić się wody. I chciała odpoczywać w cichym, ciemnym pokoju. Była o wiele słabsza, niż myślała.

– To nie była seria badań, ale tortur – skarżyła się pielęgniarce, która pomagała jej ułożyć się w łóżku.

– Całe ciało mam obolałe.

– Pewnie dlatego nie zlecili wszystkich testów na dziś. – Pielęgniarka położyła tacę na miejsce i podała chorej łyżkę. Sharley jęknęła.

– To będzie ich jeszcze więcej?

Drzwi otworzyły się i wkroczyła Charlotta Hudson, stukając o podłogę hebanową laską.

– Moja kochana! – wykrzyknęła. – Jak okropnie nas przestraszyłaś!

Za Charlotta weszła do pokoju Libby. Sharley westchnęła i zaczęła machinalnie mieszać rosół w talerzu.

– Wiem, ciociu, i bardzo przepraszam.

– Dowiedzieć się, że nie jesteś na Wyspach Bahama! Już to samo było szokiem. Na szczęście, nie próbowałam dzwonić do ciebie. Myślę z przerażeniem, co by się ze mną działo, gdybym się przekonała, że cię tam nie ma. I kiedy przyszła ta wiadomość... – Powachlowała się rękawiczką. – To było już za wiele... Wyglądasz okropnie, kochanie.

Libby zaprzeczyła.

– Wygląda lepiej, niż można się było spodziewać po tym wszystkim.

– Maski tlenowa zostawiła ci okropne, czerwone ślady na twarzy – powiedziała Charlotta.

– Znikną. – Libby zdjęła kapelusz i powiesiła płaszcz na krześle. – Tak się bawisz z tą zupą, Sharley, że muszę cię nakarmić. Robiłam to już wiele razy.

– Mogę jeść sama – protestowała Sharley.

Ale nie sprzeciwiała się dłużej, kiedy Libby usiadła na brzegu łóżka i wyjęła jej

z ręki łyżkę. Posłusznie otworzyła usta.

– Ona nie potrzebuje teraz żadnych kazań – powiedziała Libby do Charlotty. – Wystarczy, że po powrocie do domu usłyszysz, jakie to z niej niedobre i bezmyślne dziecko – mrugnęła porozumiewawczo do Sharley.

– Nie mam zamiaru mówić jej niczego w tym rodzaju – oburzyła się Charlotta. – Po prostu chcę jej powiedzieć, w jaki okropny stres popadliśmy, ja i Martin, kiedy dotarła do nas ta wiadomość.

– Na jedno wychodzi – wymamrotała Libby pod nosem.

One obie, i jeszcze ta zupa! Sharley wiedziała, że nie ma szansy, żeby coś powiedzieć. Więc nawet nie próbowała.

– Dobrze, że przynajmniej tobie udało się uniknąć najgorszego – oświadczyła Charlotta.

Sharley odsunęła łyżkę.

– Coś ze Spenem? Czy mu się pogorszyło dziś rano? Wyskubane brwi Charlotty uniosły się lekko.

– Nie wiem. I nie zależy mi na tym, żeby się dowiedzieć. Martin zapukał w na wpół otwarte drzwi i wszedł.

– Spencer lepiej się czuje – powiedział. – Właśnie go widziałem.

Sharley uspokoiła się nieco.

– Byłeś u niego, zanim przyszedłeś do Sharley?!

– zgromiła go Charlotta.

Martin zignorował uwagę żony. Podeszedł do łóżka Sharley.

– Jak się czujesz dzisiaj?

– Wygląda na to, że głowa mi nadal pracuje. – Zobaczyła smutek w jego oczach i pożałowała tej lakonicznej odpowiedzi. – Dobrze się czuję, wujku Martinie – sięgnęła po jego rękę. – Czy Spen naprawdę wraca do zdrowia?

– Tak myślę. Wciąż jeszcze wisi na drzwiach tabliczka: „Wstęp wzbroniony”. Ale pielęgniarka pozwoliła mi wejść na minutę. – Martin patrzył na szczupłe palce Sharley, blade na jego brązowej ręce. – Rozmawiałem także z Baxterem. Z samego rana poszedł do domku. Wentyl rury od bojlera był zapchany pękiem gałązek. Jakiś ptak ciężko pracował, żeby wepchnąć te łodyżki w głąb rury i zbudować tam gniazdo. Joe twierdzi, że ta blokada była zupełnie niewidoczna.

– Więc spaliny musiały wracać z powrotem do domku – powiedziała Sharley.

Pomyśleć, że ona i Spen tacy byli zadowoleni, że mają ciepłą wodę, chociaż prąd wysiadł. A to ich o mało nie zabiło. Taka prosta rzecz i takie okropne skutki.

– Nie będzie już więcej takich zmartwień! – prychnęła z pogardą Charlotta.

– Oczywiście, że nie – potwierdził Martin. – Joe uporał się z gniazdem, zanim jeszcze do mnie zadzwonił. Ale na wszelki wypadek wszystko będzie dokładnie sprawdzone, zanim ktokolwiek spędzi tam choćby godzinę.

– Myślałam raczej o sprzedaniu tej rudery – powiedziała Charlotta.

– Och, ciociu Charlotto...

– To jest potworna dziura. Dzika, brudna i śmierdząca. Nigdy nie mogłam zrozumieć, Martinie, dlaczego lubiłeś tę rudere. Poza tym nie mogę uwierzyć, że mógłbyś tam nadal jeździć, wiedząc, że Sharley w tej budzie o mało nie straciła życia.

– To nie jest wina wuja – protestowała Sharley.

– To nieładnie, ciociu, zmuszać go, żeby się pozbył swego domku.

– Zatrzymanie go byłoby po prostu głupie – powiedziała twardo Charlotta.

– Nie przejmuj się. – Martin ścisnął rękę Sharley.

– To jest teraz najmniejsze z moich zmartwień. – Zwrócił się do Charlotty: – Niepotrzebnie denerwujesz Sharley taką bzdurą...

– Bzdurą? To tak nazywasz moją prawdziwą troskę? A przez kogo ona się tu znalazła?

– Przestańcie – poprosiła chora drżącym głosem. – Proszę, wracajcie oboje do domu. Chcę spać.

Milczenie zdawało się trwać godziny, nim Charlotta powstała.

– No cóż, trudno – rzekła cierpko. – Chodźmy, Martinie. Zostaliśmy wyproszeni.

Martin przytrzymał dłoń Sharley.

– Porozmawiam z tobą później, kotku.

Uśmiechnęła się do niego, wdzięczna, że przynajmniej on wydaje się rozumieć. Libby poklepała Sharley.

– Zrobię, co będę mogła, żeby ich trzymać z daleka przez dzień albo dwa – obiecała. – Chociaż nie gwarantuję.

Ale nawet w pokoju pełnym ciszy sen nie przychodził do Sharley. Syk tlenu, hałasy z korytarza – głosy i ciche kroki, przejeżdżające w tę i z powrotem wózki – przypominały jej, że gdzieś tam, piętro niżej, Spen przechodzi przez te same tortury, przez które ona przeszła.

Martin powiedział wprawdzie, że Spen ma się lepiej, ale było coś takiego w jego głosie, kiedy to mówił, co ją trochę niepokoiło. Chciałaby pójść i zobaczyć sama.

Nie powinni trzymać jej z daleka od niego. Nieważne, że odwiedziny

wzbronione. Żona przecież zawsze ma prawo wejść.

Być jego żoną. To jest właśnie to, czego pragnęła.

Ale on stawiał warunki, przypomniła sobie. Czy może je zaakceptować? Czy może uczciwie powiedzieć sobie, że wierzy w niewinność Spena? Wbrew faktowi, który wydaje się nie do wytłumaczenia? Czy może uznać, że wystarczy jego słowo, aby uwierzyła, że nic nie zdarzyło się w domku ogrodnika? I bez względu na to, co było między nim a Wendy, czy potrafi rzeczywiście o tym zapomnieć? Nie tylko przebaczyć, ale zapomnieć? Gdybym tylko była pewna, że mnie kocha, pomyślała, wierzę, że mogłabym. Ale nie miała pewności. Wprawdzie to, czego ostatnio dokonał, świadczyło chyba o tym, że ją kocha. Poświęcił siebie, żeby ocalić jej życie. Omal nie skończyło się to tragicznie dla niego. Jeśli to nie jest miłość, to co mogłoby nią być?

Jak tylko będzie miała okazję, zdecydowała, powie mu, że żadne wyjaśnienia nie mają już znaczenia, że jego słowo wystarczy. I zapyta go, czy mogliby zacząć wszystko od nowa.

Jak tylko będzie dość silna.

Dwa pełne dni minęły, zanim lekarz zgodził się odesłać ją do domu.

– Ale żadnej szkoły, przynajmniej przez tydzień – przykazał. – Trochę ruchu, owszem, ale nie przemęczać się. Wolne spacerki, ale nie galopady. Chcę jeszcze panią zobaczyć, nim pozwolę wrócić do pełnej aktywności.

Sharley skinęła głową.

– Niech pan będzie spokojny, doktorze – powiedziała Charlotta. – Będziemy troskliwie opiekować się pana małą pacjentką. Ja bardzo dobrze rozumiem, jakie niebezpieczeństwa czyhają, gdy się za wcześnie przerywa okres rekonwalescencji. – Poglaskała rękę Sharley. – Włóż teraz płaszcz, kochanie. Libby i ja zabierzemy cię do domu.

Sharley posłusznie włożyła płaszcz na elegancki spodnium, który ciotka przywiozła. Co ona sobie myślała, dziwiła się Sharley, wybierając ten ciuch? Dżinsy byłyby wygodniejsze na długą jazdę.

– Żałuję, że Martin nie przyjechał. Dlaczego? – zapytała.

Charlottą odpowiedziała żywo:

– Chciał, ale miał jakieś sprawy do załatwienia. Przez tę nieobecność Spencera wszystko mu spadło na barki.

– Oczywiście, rozumiem to.

Tym niemniej brakowało jej wuja Martina. Odwiedził ją jeszcze tylko raz, ale

razem z Charlottą. Nie miała więc okazji, aby zapytać o domek w lesie, o swoje auto, i o... Spena.

Sharley spojrzała w dół, na hol, gdzie były drzwi do pokoju Spena. Drzwi były zamknięte i tabliczka: „Wejście wzbronione” wciąż jeszcze wisiała. Wczoraj wielokrotnie przechadzała się po tym holu, w tę i z powrotem, próbując znaleźć w sobie odwagę, żeby złamać zakaz i zapukać do pokoju.

Jedna z pielęgniarek zawołała z dołu:

– Jak to miło widzieć panią na nogach, ubraną i gotową do drogi. Ale będzie nam pani brakowało. I pana Greenfielda również.

– Czy on też dzisiaj wraca do domu? – Sharley starała się opanować drzenie głosu.

– Nie. Prawdopodobnie za dzień lub dwa. Czemu pani nie wstąpi i nie powie nr* do widzenia? Jestem pewna, że ucieszy się, gdy panią zobaczy.

– Ale ta wywieszka...

– Och, to. Powiedział dzisiaj, że można by to już zdjąć. – Pielęgniarka podeszła do drzwi i zapukała. – Młoda dama pragnie pana odwiedzić – powiedziała wesoło i przywołała Sharley.

Sharley nerwowo zwilżyła wargi.

– Będę za chwilę, ciociu Charlotto – szepnęła i zeszła na dół.

W pierwszej chwili zobaczyła tylko jego sylwetkę. Spen siedział na fotelu, zwrócony tyłem do okna. Kiedy wzrok jej przyzwyczaił się do półmroku, zaczęła chłonąć jego widok. Gładko ogolony, ubrany w szpitalną piżamę i szlafrok w kolorową kratkę. Był trochę blady, usta miał zacięte, ale tak w ogóle wyglądał świetnie.

Co by się stało, gdyby podbiegła do niego? Gdyby rzuciła mu się w ramiona albo przyklękła tuż przy fotelu?

– Pożegnaj cię już – usłyszała kobiecy głos.

Chyba pielęgniarka, pomyślała. Ale zanim się tamta odwróciła, Sharley wiedziała, że się myli. Ten miękki głos to był głos Wendy. Co Wendy Taylor tu robi? Skoro Spen jeszcze dzień lub dwa pozostaje w szpitalu, to przecież nie przyjechała, żeby zabrać go do Hammond's Point. Nie bądź głupia, pomyślała, odwiedza go, to oczywiste.

– Nie wychodź, Wendy – powiedziała. – Charlotta czeka, żeby zabrać mnie do domu. Przyszłam tylko powiedzieć... do widzenia.

Spen wstał.

– To nie jest moja sprawa, oczywiście, ale czy ona ma zamiar zrobić z ciebie

inwalidkę?

– Spen! – zaprotestowała Wendy.

Sharley pomyślała, że jej głos zabrzmiał, jakby strofowała niegrzeczne dziecko. Spen zarumienił się lekko i kątem oka spojrzął na Wendy.

Zachowuje się, jakby pozwalał sobą rządzić, pomyślała z niedowierzaniem. I ostatni promyk nadziei zamarł w niej, pozostawiając ból. Mogła już tylko wycofać się z godnością.

– Masz rację – powiedziała chłodno. – To nie jest twój interes.

Wendy poruszyła się nerwowo.

Sharley chciała powiedzieć: Nie martw się, Wendy, o niczym innym nie marzę, jak o tym, żeby stąd wyjść. Ale nie powiedziała tego.

Jednak zostało jeszcze coś do powiedzenia, bez względu na to, jak okrutnie jej marzenia zostały zniszczone.

– Nie miałam okazji podziękować ci, Spen. I powiedzieć, że doceniam wszystko, co dla mnie zrobiłeś. Mam nadzieję, że szybko wrócisz do zdrowia.

I to było wszystko. Chyba wymówił jej imię, ale stuk zamykanych drzwi zagłuszył jego słowa. A może tylko jej się wydawało, że słyszy głos Spena?

W każdym razie to już nie miało znaczenia.

Rozdział 9

Sharley siedziała w fotelu na werandzie domu Hudsonów i wierciła się niespokojnie. Był piątek, druga po południu. Właśnie teraz nauczycielka, która ją zastępuje, będzie rozdawać dzieciom arkusze z zadaniami matematycznymi, które Sharley przygotowała. I wkrótce skończy się tydzień.

Minęły ferie marcowe, wczoraj zaczęły się lekcje, ale bez Sharley. Jeśli już musiała wziąć kilka dni zdrowotnego urlopu, to teraz był najlepszy moment, bo przecież już przedtem przygotowała zastępstwo. Ale wcale nie było jej łatwo usiedzieć beczynnie w domu. Już w kilka dni po wyjściu ze szpitala czuła się dobrze. Może mogłaby wrócić do pracy wcześniej, niż pozwalał lekarz?

Ale, jeśli ma być ze sobą szczerą, musi przyznać, że nie tylko nieobecność w szkole zaprzętała jej myśli. Patrzyła na leżący na kolanach podręcznik. Gapiła się na te same dwie strony niemal od godziny i... myślała o Spenie.

Powinna być zadowolona, że wtedy w szpitalu nie zrobiła z siebie idiotki. Jakież to byłoby kłopotliwe, gdyby mu oświadczyła, że już wierzy, iż Wendy nic dla niego nie znaczy! A on musiałby wyznać, że się myli.

Na pewno myliła się co do Wendy, to oczywiście. Gdyby ta kobieta nic dla niego nie znaczyła, to czy mogłaby do niego mówić takim karcącym tonem, jakby miała prawo korygować jego potknięcia. Spen by na to nie pozwolił.

Nie, gdyby Wendy nie miała do niego prawa, to skąd by się wzięła u niego w pokoju?

Zadzwieczał dzwonek u drzwi. Sharley zamknęła podręcznik i próbowała wstać. Z fotela w drugim kącie werandy odezwała się Charlotta:

- Nie wstawaj, Libby otworzy.
- Libby ma mnóstwo roboty. Ja to mogę zrobić.
- Ale zanim wstała, usłyszała kroki gosposi, idącej już do drzwi.

Usiadła znów na fotelu, a za chwilę Libby wprowadziła trzy przyjaciółki Charlotty. Tego mi tylko brakowało, pomyślała Sharley. Wizyta brydżowych dam!

– Charlotto, co to za szok musiał być dla ciebie – szczebiotała jedna z nich, wchodząc na werandę.

- Przyszliśmy podtrzymać cię na duchu.
- To bardzo miło z waszej strony. Rzeczywiście to było ciężkie doświadczenie.

Ale teraz, kiedy Sharley jest już bezpieczna i w domu... i nic już jej nie grozi...

- Zostawię panie na pogaduszkę – uśmiechnęła się Sharley. Złożyła swoje

podręczniki i notesy. – Muszę coś jeszcze przestudiować.

– Wielkie nieba! – wykrzyknęła Charlotta.

– Przez dwa dni nic innego nie robisz. Potrzebujesz odmiany. Libby, podaj nam herbatę.

– Och, zostań, Sharley – poprosiła jedna z dam.

– Taki straszny wypadek! Masz wielkie szczęście, że nie zostawił trwałych śladów. Nie zostawił, prawda?

– Mój kuzyn William przeżył zatrucie tlenkiem węgla – wspomniała druga dama. – Wkrótce potem dostał ostrego ataku serca. Biedny człowiek. Też był bardzo młody. W każdym razie za młody, jak na atak serca. Lekarz mówił, że zatrucie osłabiło jego organizm.

Na litość boską! – pomyślała Sharley – niech one przestaną opowiadać takie horrory. Spen także jest młodym człowiekiem. Dużo za młodym, jak na atak serca.

Trzecia dama usiadła na krześle, obok Charlotty.

– Cały ten epizod osobiście wydaje mi się szczególnie dziwny – wyznała.

– Zastanawiam się, co pani chce przez to powiedzieć? – Sharley uniosła brwi.

– Czy to nie szczególnie dziwne, że Spen był tam z tobą? Po takim głośnym zerwaniu, to co najmniej niezwykle.

Nic nie mów, ostrzegła się Sharley. Będzie jeszcze gorzej, jeśli spróbujesz coś tłumaczyć.

– Och, ja myślę, że to bardzo romantyczne – dama, która pytała o skutki zatrucia, poklepała Sharley po ramieniu. – Czy to prawda, że Spencer cię wyratował?

– Tak – przyznała Sharley.

Dama zachichotała.

– Więc przypuszczam, że niedługo usłyszymy nowe zapowiedzi.

– Nie wiem, jakby mogło do tego dojść – odpowiedziała oschle. Nie chciała już tego słuchać. Ale czy mogła po prostu zabrać swoje książki i wyjść?

– Ale po tym, jak ci ocalił życie, moja droga, z pewnością znajdziesz w swoim sercu odrobinę...

– Nie bądź głupia – przerwała Charlotta. – Spencer zrobił to, co zrobiłby każdy na jego miejscu. I to nie zmienia faktów. Może byśmy mówiły o czymś innym, bo jestem już zdenerwowana...

Sharley próbowała skryć westchnienie ulgi. Charlotta zwróciła się do damy siedzącej obok niej:

– Miałam zamiar zadzwonić do ciebie w sprawie twego poniedziałkowego

przyjęcia. Obawiam się, że nie będę mogła przyjść. Stres, który przeżyłam w tym tygodniu, to za dużo dla mnie.

– Ależ, Charlotto, obiecałaś zająć się herbatą. I to szczególne wydarzenie! Po prostu nie może cię brakować. Nie każdego dnia w Hammond's Point możemy gościć tak sławnego muzyka. I mieć okazję porozmawiać z nim po recitalu. To będzie prawdziwa uczta.

– Tak, ja wiem, i głęboko żałuję, że go nie poznam. Ale jestem pewna, że Sharley z przyjemnością zajmie moje miejsce. I pomoże ci.

Sharley wolno obróciła głowę i przyglądała się ciotce. Co powiedział Spen o społecznej działalności Charlotty? Że zawsze zwała na nią to, czego sama nie ma ochoty robić. Ale żadne opinie Spena już nie powinny jej interesować. Z drugiej strony jednak, rozlewanie herbaty w poniedziałkowy wieczór zupełnie się jej nie uśmiechało.

– Ciociu Charlotto – powiedziała – nie sądzę, żebym dała radę.

– Nonsens, kochanie. To tylko małe przyjęcie. Dobrze ci zrobi, jeżeli wyjdiesz z domu i zajmiesz się czymś przez godzinę lub dwie.

– Ale ja chcę w poniedziałek iść do szkoły i myślę, że po pierwszym dniu pracy powinnam wieczorem odpocząć.

Charlotta ostro się sprzeciwiła:

– Lekarz powiedział, że nie wolno ci pracować przynajmniej przez tydzień.

– Wiem o tym. Ale ja już dziś czuję się zupełnie dobrze, a szkoła dopiero za trzy dni. Dlaczego miałabym nie pójść? – W Sharley rósł bunt. – Powiedziałaś sama, że dobrze mi zrobi, jak wyjdę i czymś się zajmę.

– Skromne przyjęcie to nie to samo co szkoła – powiedziała Charlotta. – Nie nadajesz się jeszcze do tego, żeby uganiać się za urwisami po boisku.

– W obowiązkach na boisku zastąpią mnie inne nauczycielki, przez tydzień albo dłużej. I znajdę sobie pomoc we wszystkich wyczerpujących pracach w klasie. A teraz chcę wykorzystać wolne chwile, jakie mam dzisiaj, żeby się przygotować na poniedziałek. – Zebrała swoje książki. – Proszę mi wybaczyć.

Kiedy wchodziła do swojego pokoju, jej samopoczucie było lepsze niż ostatnio. Muszę przestać żyć tylko przeszłością, zdecydowała. Zacznę od początku. Pozytywna postawa, to jest klucz do...

Z okna zobaczyła Martina kręcącego się wokół klombów. On ją też zobaczył i pomachał do niej. Tak, wyraźnie prosił ją gestem, żeby wyszła.

Jeszcze tego mi potrzeba! Mało było brydżowych dam. Znow będzie mnie pocieszał. Nie może się pogodzić, że nic się nie zmieniło. I że nic się nie zmieni.

Wczoraj przy obiedzie usiłował mówić o Spenie, aż w końcu Charlotta go skarciła.

Obeszła teraz dom, żeby się z nim spotkać. To nie jego wina, że nie potrafi zrezygnować, przynajmniej wtedy, kiedy chodzi o Spena. Było w tym coś z psiej lojalności, i to było wzruszające.

Gdybym ja miała taką postawę od początku, sprawy potoczyłyby się inaczej.

Ale nie na długo. Wendy stale byłaby między nami...

Martin musiał wyjść z biura bardzo wcześnie, pomyślała, bo się już przebrał w ogrodowy kombinezon, a jeden z klombów nosił ślady jego intensywnej pracy.

– Odkąd wróciłaś do domu, nie miałem szansy porozmawiać z tobą, Sharley.

W jego głosie brzmi jakby oskarżenie, zauważyła.

– W ogóle nie wychodziłam z domu, wujku.

– Wiem. Ale Charlotta nie opuszczała cię ani na chwilę. – Zdjął rękawice i naciągnął na uszy ogrodniczy kapelusz. – Nie mogłem słowa z tobą zamienić.

Sharley zmarszczyła brwi.

– Wiem, ciocia jest trochę zaborcza, ale...

– Chodź, usiądź ze mną na chwilę, dobrze?

Poprowadził ją do ławki na skraju różanego ogrodu.

Sharley usiadła. Martin wyrwał garść trawy i zaczął sobie wycierać buty z błota. Nie patrzył na nią.

– Wujku Martinie, chciałabym, żebyś przestał zachowywać się jak szpieg.

Nie uśmiechnął się.

– To nie jest łatwe, Sharley. I bardzo nieprzyjemne dla mnie. A może być szokiem dla ciebie. Ale to musi zostać powiedziane.

Nuta rozpaczy w jego głosie chwyciła Sharley za serce. Czowała, że coś ją dławi w gardle.

– Chodzi o Spena, tak?

– W pewnym sensie... tak.

Sharley zacisnęła ręce aż do bólu.

– To zatrucie jest ciągle groźne, tak? Dlatego nie wypuszczają go ze szpitala?

– Nie, on się czuje bardzo dobrze. Dziś po południu wrócił do pracy, tylko na kilka godzin, ale dzięki temu mogłem się wymknąć i próbować z tobą pomówić.

– Więc jeśli nie chodzi o zdrowie Spena to o co chodzi?

– Jestem tchórzem, Sharley. – Jego głos brzmiał nisko i ochryple. – Nędznym, śmierdzącym tchórzem. Ale w zeszłym tygodniu, kiedy pomyślałem, że mogłaś umrzeć i że to moja wina...

– Nie twoja – zaprotestowała.

– Próbowałem powiedzieć ci to w szpitalu, ale pielęgniarka mnie wyprosiła. Cóż, słusznie, byłaś bardzo słaba.

– Później nie miałem już okazji, by rozmawiać z tobą. Charlotta tkwiła zawsze przy tobie.

– Wuju Martinie...

Wziął głęboki oddech i zwrócił ku niej twarz. Sharley dostrzegła cierpienie w jego oczach.

– To nie Spen był w domku z Wendy.

Zapadło nie kończące się milczenie. Po czym Sharley zaczęła się histerycznie śmiać.

– Co ty mówisz?! Oczywiście, że to był Spen! Widziałam go! Rozmawiałam z nim!

– Tak, ty go widziałaś. Ale to nie było tak, jak ci się wydawało. – Wziął głęboki oddech. – Wendy i Spen nie mieli romansu, Sharley. Nigdy nie mieli. Ona tam była, żeby się spotkać ze mną.

Świat zawirował i Sharley musiała chwycić się poręczy ławki, żeby zachować równowagę, gdy dotarło do niej to, co Martin powiedział.

– Nasz romans zaczął się już blisko rok temu.

– Martin westchnął. – Nigdy nie miałem zamiaru wiązać się z inną kobietą...

– Zawsze się mówi, że się nie chce... – głos zamarł Sharley w gardle, jakby nie używała go od stu lat.

– Masz rację. Ale Wendy jest taka słodka, dobra, kochająca i...

– W przeciwieństwie do Charlotty? Martin spojrzał na nią z wyrzutem.

– Charlotta ma swoje wady – powiedział cicho.

– Zmieniła się w ciągu ostatnich kilku lat, odkąd miała wylew... Cóż, z pewnością nie jest to już ta kobieta, którą była dawniej...

Sharley potaknęła.

– To oczywiście nie tłumaczy mojego zachowania i nie myślę winić Charlotty za to, co się stało. Jestem żonatym mężczyzną, który miał romans. I to jest wszystko, co można powiedzieć. Nieładnie, prawda? Sharley spojrzała na niego. Martin westchnął.

– Spotykaliśmy się w domku, ponieważ...

– Tuż pod nosem Charlotty?!

– No... tak... ale... To było dogodne.

– Właśnie! – warknęła.

– Wendy miała klucz, a jako sekretarka Spencera mogła przychodzić do domku

w urzędowych sprawach, więc było znacznie mniej prawdopodobne, że ktoś nas zobaczy tam niż w hotelu, a nawet w jej mieszkaniu.

– Pewnie masz rację. I mnie by to nie przyszło do głowy. – Sharley prawie trzęsa się z gniewu. – Ale to miał być mój dom! Miałam tam mieszkać z ukochanym mężczyzną! Jak mogłeś?!

Ból w jej głosie przejął go do głębi.

– Sharley, najdroższa, przepraszam. To niewybaczalne z mojej strony. Ale to się już skończyło...

– I dlatego mam się czuć lepiej?!

– Ja nie przewidziałem, jakie mogą być skutki tego co robię. Skoro nigdy nie myślałem, co by było, gdybyśmy zostali nakryci, było tak, jakby to się nie mogło zdarzyć. Teraz wiem, jak idiotycznie postępowałem. I to jest moje jedyne wytłumaczenie...

Sharley sięgnęła do kieszeni płaszcza po chusteczkę.

– I zostaliście nakryci.

– Tak. Spen zastał Wendy w domku i, oczywiście, zażądał od niej wyjaśnień. I ona wtedy powiedziała mu o wszystkim.

– Musiała być aż w jego ramionach, żeby to wyznać?

– To ją bardzo dużo kosztowało i rozplakała się na jego ramieniu.

– Jasne. To takie szerokie i usłużne ramię. – Sharley zaczęła drzeć na strzępy papierową chusteczkę.

Martin poruszył się niespokojnie.

– To nie było łatwiejsze dla niej niż ta rozmowa jest dziś dla mnie.

Miał rację. Sharley przełknęła tę gorzką pigułkę.

– Mów dalej.

– Spen był zaskoczony twym wejściem i mocno zszokowany.

– Mogę sobie wyobrazić.

– I natychmiast pojął wszystkie komplikacje. Gdyby Charlotta się dowiedziała...

– Byłoby paskudnie, prawda?

– Bardzo paskudnie. Obawiam się, że... W ostatnim roku zdrowie Charlotty doszło do takiego stanu... Spen błyskawicznie próbował znaleźć sposób, żeby zminimalizować katastrofę, którą mogłem wywołać przez swoją głupotę.

Przypomniała sobie, że Spen powiedział wówczas do Wendy: „Tak dalej być nie może”... lub coś w tym rodzaju.

– Cóż, to było miłe z jego strony.

– Jeśli myślisz, że motywem jego postępowania było ochranianie mnie, to się mylisz! – powiedział ostro.

– Chciał rozmawiać ze mną, przekonać mnie, żebym się opamiętał. Ale wtedy ty weszłaś. To naturalne, że byłaś zaniepokojona.

– Zaniepokojona?! Bardzo łagodnie powiedziane!

– Łzy wściekłości trysnęły jej z oczu. – Byłam zaskoczona! Zszokowana, a on nawet nie raczył wytłumaczyć mi, w czym tkwi prawda?! Ochranił cię moim kosztem!

– Sharley, aniołku, zastanów się. On był oszołomiony, nie wiedział, co robić, nie miał pojęcia, jak ja zareaguję, gdyby prawda wyszła na jaw, a ty od razu uciekłaś do domu, do Charlotty.

Sharley milczała. Martin miał rację. Wprawdzie nie miała zamiaru biec do ciotki, ale tak się stało.

– Spen pobiegł za tobą. Gdyby zaczął tłumaczyć ci, co się stało, to każde jego słowo słyszałaby Charlotta...

Sharley przypomniała sobie, jak Spen się zdenerwował, kiedy zobaczył, że Charlotta jest w pokoju. Myślała, że powodem było słabe zdrowie ciotki. Ale teraz musiała przyznać wujkowi rację. To była właśnie ta chwila, kiedy przestał prosić, aby go wysłuchała. Prosił tylko o ślepe zaufanie.

Ale Martin też tam był, przypomniała sobie. I nic nie zrobił! Stał i słuchał, jak rozrywała Spena na strzępy, i nawet nie próbował interweniować! Wściekłość w niej zawrzała.

– I pozwoliłeś, abym Uwierzyła, że Spen jest winny?! Wujku Martinie, jak mogłeś?!

Martin powiedział ze smutkiem:

– Nie próbuję się bronić, Sharley. Już powiedziałem, że jestem tchórzem. Ale zapewniam cię, że nie stałbym jak słup, gdybym zdawał sobie sprawę, co się stało. Nie zapominaj, że wtedy nie wiedziałem, o co chodzi. Wiedziałem tylko, że znalazłem się w środku walki. Nawet cię nie słuchałem. Myślałem tylko o Charlotcie.

Sharley lekko przytaknęła. To, że bolesne słowa, które wtedy rzuciła Spenowi, wryły się w jej sercu, nie znaczy wcale, że ktoś inny musiał od razu wsłuchiwać się w każdą jej sylabę.

– Jak tylko odkryłem, co się stało, chciałem ci powiedzieć, że to nie była wina Spena. Ale ty już przed tym pokazałaś mu drzwi. Zwróciłaś pierścionek i powiedziałaś, że nie chcesz go więcej widzieć.

– Więc już się nie trudziłeś, żeby wszystko naprawić?

Oczy Martina były pełne smutku.

– To nie tak, Sharley. Próbowałem przekonać Spena. Mówiłem, że chcę wytłumaczyć, że muszę wytłumaczyć. Ale on nalegał, żebym milczał.

– Zabronił ci, żebyś mi powiedział? Niemożliwe!

– Zabronił, to za mocne słowo. Ale tłumaczył, że będzie jeszcze gorzej, jeśli się w to wmieszam. Że wszystko jeszcze bardziej się zapłaczę, i prosił, żebym to zostawił w spokoju.

– Tak – powiedziała prawie do siebie – słyszałam już tę melodię.

– A ja byłem tak słaby, że zaakceptowałem to, Sharley. Nie tylko, żeby ocalić własną skórę – dodał spiesznie – ale ponieważ wierzyłem, że jeśli oboje ochłoniecie, uporacie się z tym. Ale ostatni tydzień... kiedy prawie cię straciłem... Nie mogę już dłużej kryć się za Spenem i pozwolić, żeby takim kosztem mnie osłaniał.

Sharley gryzła paznokiec kciuka.

– Więc teraz, kiedy już wiem to wszystko, co będzie, jeśli pójde stąd wprost do Charlotty i wyznam jej całą prawdę?

Martin westchnął.

– Zrobisz to, co uważasz za słuszne.

– Ale myślisz, że tego nie zrobię, prawda? Oczekujesz, że będę milczeć, że przystąpię do twojej konspiracji, wujku Martinie?

– Nie chcę jej o tym wszystkim powiedzieć, Sharley. Boję się, jak zniosłaby taki szok. I co by to dało? Mój romans jest skończony. To się już więcej nie zdarzy.

– Wziął głęboki oddech. – Jeśli czujesz, że ona to musi wiedzieć, Sharley, mam nadzieję, że dasz mi trochę czasu. Jeśli ktoś ma jej powiedzieć, pozwól, żebym to był ja.

– Pójde porozmawiać ze Spenem. – Sharley podniosła się z ławki.

– Cieszę się – uśmiechnął się Martin. – To jest wspaniały chłopak, ten twój Spen.

Nie odwróciła się nawet.

– On już nie jest „mój Spen”, wujku Martinie.

– Ale zrozumiałaś, prawda? On jest absolutnie niewinny!

– Tak, zrozumiałam.

– Więc wszystko będzie dobrze – Martin odetchnął z ulgą.

Nie rozczarowywała go. Idąc do swojego auta, myślała, ile ironii jest w fakcie, że dowód niewinności Spena, którego tak pragnęła, o który się niemal modliła,

przesłał być dla niej istotny. Już nie miał po prostu znaczenia.

Realne było to, że widocznie ich związek nie był dla niego dostatecznie ważny, skoro nie próbował powiedzieć jej całej prawdy.

Sharley nie była zdziwiona, gdy w administracyjnym skrzydle Hudson Products zastała nową, siwowłosą, o matczynym wyglądzie sekretarkę. Nie była także szczególnie zaskoczona, kiedy ta pani powiedziała z uśmiechem:

– Dzień dobry, panno Collins. Powiem panu Greenfieldowi, że pani tu jest.

Wuj Martin zadzwoił, pomyślała, prawdopodobnie zadzwonił, żeby przygotować Spena na jej wizytę.

– Sama się zaanonsuję – powiedziała, ale zatrzymała się na chwilę z ręką na klamce. Wreszcie weszła, gotowa na ostateczną rozprawę.

Spen podniósł oczy znad swojego biurka, odłożył wieczne pióro i wstał.

– Wejdz, Sharley. Więc Martin znalazł w końcu dość siły, żeby zrzucić z siebie ten ciężar. – W jego głosie brzmiał wojowniczy ton, ale nie było błysku iskierki w oczach.

– Jak mogłeś powstrzymać go od tego, aby mi wyznał wszystko od razu?

Przeszedł naokoło biurka, przysiadł na rogu, skrzyżował ręce na klatce piersiowej.

– Co byś wtedy zrobiła, Sharley?

– A czego się spodziewałaś? Że polecę prosto do Charlotty, wszystko wypapłę i nawet nie pomyślę, co jej się może stać?

– Byłaś taka wściekła, że nie miałem pojęcia, co zrobisz.

– Nie jestem dzieckiem...

– Jeśliby sprawa wybuchła, nie chciałbym, żebyś się znalazła w epicentrum eksplozji – powiedział Spen, cedząc słowa.

– Tak? No cóż, dziękuję ci, żeś mi chciał oszczędzić poczucia winy, gdyby ten szok Charlotte zabił. Ale, wiesz, jestem zdziwiona, że sam jej wszystkiego wprost nie powiedziałeś! Przecież byłeś taki pewny, że jej choroba to tylko udawanie. Dlaczego więc wahałeś się wyrąbać jej całą prawdę?!

– Nigdy nie mówiłem, że udaje. Po prostu uważam, że jest zdrowsza, niż to okazuje. Myślałem, że dla Martina byłoby nieskończenie lepiej, gdyby sam wszystko wyznał, a nie został przyłapany. Można byłoby mieć wtedy nadzieję, że wszystko ułoży się spokojnie, bez hysterii i palpacji serca. Gdyby powiedział jej, że wprawdzie popełnił błąd, ale w porę zrozumiał, że to był błąd, i że teraz tego żałuje.

Sharley nie wyobrażała sobie, żeby ciotka mogła przyjąć taką nowinę

spokojnie, ale musiała przyznać przed sobą, że Spen miał rację.

– Ale ty nigdy nie pozwoliłaś, by to się stało, Sharley – ciągnął Spen. – Nie chciałaś słuchać, nie dałaś mi czasu, żebym z nim pomówił. Nim nadeszła okazja, żeby wszystko naprawić, ty zachowałam się tak, iż Charlotta, chcąc nie chcąc, musiałaby poznać każdy paskudny szczegół.

– Nieprawda!

– A co zrobiłaś, krzyżując na mnie w holu?! Zagryzła wargi.

– Gdyby po tej scenie Martin przyznał się, że to on był wszystkiemu winien, a nie ja, byłoby to wyznanie wyrwane z gardła torturami. Wyznanie błędu po tym, jak został złapany na gorącym uczynku, jest zupełnie czym innym, niż dobrowolne przyznanie się do winy, prawda?

– Mimo wszystko – Sharley powtarzała uparcie – powinienes mi był powiedzieć, co się stało.

– Kiedy? Wtedy u Charlotty, gdy dawała ci lekcję dobrego wychowania? Jak mogłem w takiej chwili cokolwiek wyjaśniać?

Usiadła na poręczy fotela. Miał rację. Postawiła go w bardzo trudnej sytuacji.

– A kiedy Martin miał szansę? – Spen ciągnął dalej.

– Kiedy miał sposobność rozmawiać z tobą bez Charlotty?

Sharley milczała, starając się przypomnieć sobie wszystko. Rzeczywiście, unikała Martina przez te pierwsze dni, myśląc, że on naiwnie próbuje nakłonić ją i Spena do pojednania, którego ona nie potrafiła sobie wyobrazić.

– Ale Martin nawet teraz nie jest skłonny powiedzieć Charlotcie prawdy.

Spen westchnął.

– Może ma rację. Bez względu na to, jakby to tłumaczył teraz, nie mógłby wyeliminować podejrzenia, że przyznaje się, ponieważ nie ma wyboru. Prawda czasami zadaje ból, którego nie da się niczym złagodzić. Lepiej byłoby, gdyby ciotka nie dowiedziała się o tym romansie.

– Trudno mi się z tobą zgodzić – zachmurzyła się.

– Romans jest skończony. Co dobrego przyjdzie Charlotcie, gdy się dowie, co się wydarzyło? Ale to Martin musi zdecydować. Nie ty ani nie ja.

– Jeśli nic nie powie, to uniknie wszystkich konsekwencji, prawda? Wydaje mi się, że ty nie martwisz się o Charlotte, tylko o to, żeby Martin nie cierpiał.

– Może masz rację. Myślę, że zupełnie nie rozumiesz, jak fatalnie by było, gdyby Charlotta miała powód do ukarania go.

– Nie wierzę, żeby się z nim rozwiodła. Co innego mogłaby zrobić?

– Skoro już wszystko wyjaśniamy... Czy ty chociaż wiesz, jak powstała firma

Hudson Products?

– Co interesy Martina mają z tym wspólnego?

– Firma powstała z pieniędzy Charlotty.

– Charlotty? Ależ to niemożliwe! Gdyby ciotka miała pieniądze, miałyby je także moja matka. Były siostrami.

– Charlotta odziedziczyła pieniądze po swoim pierwszym mężu.

– Nie wiedziałam – zdziwiła się Sharley.

– Martin u pierwszego męża Charlotty obsługiwał jakąś maszynę. Był niewiele więcej niż robotnikiem. Gdyby nie Charlotta, pewnie do dziś by robił to samo. Ale Martin ożenił się z wdową po swoim szefie i ona finansowała firmę, zmienioną teraz na Hudson Products.

„Kiedy kobieta wnosi pieniądze do małżeństwa, to nie można się z nią nie liczyć”. Coś takiego powiedziała ciotka tamtego pamiętnego dnia. To nie była zwykła uwaga. Miała siebie na myśli.

– Działo się to tak dawno, że mogłaś nie wiedzieć, że Charlotta miała pierwszego męża.

– Wiedziałam. Ale nigdy o tym nie myślałam. – Sharley zastanawiała się chwilę. – Mimo twoich obiekcji, ja jej chyba powiem. Jeżeli rzuci Martina, po czyjej będziesz stronie? Nie wątpię, że po jego.

– Nie sądzę, że go rzuci. On jest właścicielem firmy. Ale gdyby doszło do sprawy rozwodowej, zaczęłyby mówić o swoim wkładzie do przedsiębiorstwa...

– Nic dziwnego, że nie chciałaś, aby mnie w to wplątano. Zanim ucichłby szum wokół sprawy, ja mogłabym już zostać wydziedziczona!

Spen przeszedł wokół biurka i usiadł.

– Czy otrzymasz spadek, czy nie, to nigdy nie było dla mnie ważne. Ale ta cała rozmowa utwierdza mnie w przekonaniu, że od początku miałem rację.

– W czym?

– Nie trudząc się wyjaśnieniami. I nie błagając, ażebyś zrozumiała.

– Ponieważ nie było nic do przebaczenia?

Spojrzał przeciągle i rzekł krótko:

– Nie, Sharley. Ponieważ nie było nic, co warto by było ocalać.

Te słowa głęboko zraniły jej serce. Odpowiedziała z goryczą:

– Nigdy nie dałaś mi szansy, Spen. Żądałaś, żebym ci ślepo ufała, nie dając w zamian nic, żadnej pomocy. Nic, tylko twoje słowo. Ale nie ufałaś mi. Nawet na tyle, żeby podzielić się ze mną faktami. I aby uwierzyć, że nie wykorzystam prawdy w sposób nieodpowiedzialny.

– A czy teraz wykorzystujesz prawdę w sposób odpowiedzialny? Nie musiałem ci mówić o pieniądzach Charlotty. A teraz używasz tego przeciw mnie.

– Sharley przygryzła wargi. Miał rację. Zawstydziała się.

– Przepraszam. To było... gruboskórne z mojej strony. Ale musisz przyznać, że okoliczności całej tej sprawy były ciemne. W domku w lesie, bez nikogo wokół, miałeś tyle czasu, żeby mi to wyjaśnić i nie zrobiłeś tego!

– To już nie miało znaczenia. – W jego głosie brzmiała głęboka nuta smutku.

– Dlaczego?

– Tamtego popołudnia powiedziałaś mi wszystko, krzycząc na mnie jak na zdrajcę. Nawet nie próbowałaś uwierzyć w moje słowo. – Odwrócił się i znowu patrzył przez okno. – Kobieta, która mi nie ufa, nie jest tą, którą mógłbym poślubić.

Każde słowo zdawało się wypalać dziurę w jej sercu. Gineła. Śmiertelny cios zabił ostatnią nadzieję, że wszystko jeszcze mogłoby się ułożyć. Powiedziała cicho: , – Bardzo mi przykro... Ale widzisz... Kochałam cię, Spen...

Nawet nie odwrócił głowy.

– A może kochałaś samą ideę, że jesteś zakochana?

To nawet nie zabrzmiało jak pytanie. Zabrzmiało jak stwierdzenie faktu. Sharley zwilżyła wargi.

– I ciągle jeszcze cię kocham – wyszeptała.

Nie odpowiedział nic.

Nie chcąc się upokorzyć jeszcze bardziej i aby nie wybuchnąć płaczem, odwróciła się i tym razem chyba już po raz ostatni odeszła od mężczyzny, którego przecież nadal kochała.

Rozdział 10

Nastąpiła kalendarzowa wiosna. Rano, kiedy Sharley wyjeżdżała z domu do szkoły, zauważyła, że żonkile Martina już kwitną.

Stała teraz przy oknie w swojej klasie i patrzyła na karmnik, gdzie para szczygłów kłóciła się zajadle. Hałas bawiących się dzieci docierał do jej uszu z boiska. Westchnęła i wróciła do biurka. Nie powinna marnować kilku cennych minut, które jej pozostały do dzwonka.

Prawdą było, że nie czuła się jeszcze zbyt dobrze. To był jej pierwszy, po powrocie, dzień w szkole. Na szczęście, do końca zajęć została jeszcze tylko godzina. Może lekarz i ciotka mieli rację, mówiąc, że...

Wzięła z pliku wypracowań pierwsze z wierzchu, sięgnęła po czerwony ołówek i właśnie wtedy otworzyły się drzwi klasy. Zajrzała Amy Howell, zobaczyła, że Sharley jest sama i weszła.

– Czy jesteś pewna, że słusznie robisz, śpiesząc się tak do pracy? – zapytała. – Wyglądasz jeszcze mizernie.

– No, ale trzymam się jakoś – Sharley próbowała się uśmiechnąć.

– Jestem teraz pewna, że wolałabyś pojechać z nami na narty. – Amy przysunęła sobie krzesło i usiadła.

– Masz rację. Skręcone kolano to przy zatruciu drobnostka. – Sięgnęła do szuflady biurka i wyciągnęła małe, płaskie pudełko.

– Co tę jest? – zerknęła z ciekawością Amy.

– Nie pamiętasz? To chyba właściwy moment na zwracanie ślubnych prezentów... Skoro ślubu nie było...

– Och, czarny negliż?! I co ja mam z nim zrobić? – Wzięła jednak pudełko pod pachę i nie ciągnęła dalej tematu. – Jesteś dziś wozem, prawda? – spytała.

– Tak. Przypuszczałam, że po całym dniu pracy nie będę miała siły wracać do domu na piechotę. A czemu pytasz?

– Mam wielką prośbę do ciebie. W moim aucie zakładają nowe opony. Czy mogłabyś mnie podrzucić, żebym go odebrała z warsztatu? Chyba że chcesz jechać prosto do domu?

– Dobrze, podrzucę cię. I tak chciałam jeszcze wstąpić do pralni.

Ostro zabrzmiał dzwonek kończący przerwę. Po chwili dzieci zaczęły wracać do klasy. Niektóre miały na sobie tylko lekkie kurteczki, a we włosach płatki śniegu.

– Wspaniale – roześmiała się Amy. – Będą kichać przez resztę tygodnia.

Sharley przeprowadziła krótką lekcję matematyki, spacerując po klasie, po czym z ulgą usiadła i poleciła jednemu z uczniów rozdać arkusze z zadaniami. Zastanawiała się, ile czasu upłynie, zanim wróci jej dawna energia życiowa.

Otworzyła szufladę i wyjęła podręcznik. Miała teraz kilka minut na przygotowanie tematów lekcji na przyszły tydzień. Pod książką, na dnie szuflady, leżała fotografia w ramce, która dawniej stała na biurku. Zdjęcie Spena i Wendy w biurze Hudson Products. Sharley patrzyła na nie przez długą chwilę, po czym odwróciła je. Nie mogła się zdobyć na zniszczenie fotki, bo to by oznaczało ostateczny koniec miłości. A nie była jeszcze dość silna, aby to przeżyć. A jednak się skończyło. Wiedziała o tym. Nie było jednak grzechem łudzenie się przez chwilę, że jeszcze wszystko może się jakoś odmienić.

W pewnej chwili poczuła, że w klasie jest ktoś jeszcze, prócz dzieci. Pomyślała przez moment, że uległa przywidzeniu. W drzwiach stała Wendy Taylor i rozglądała się niezbyt pewnie. Sharley odsunęła krzesło i podeszła do niej.

– Czego chcesz? – zapytała cicho.

– Chciałabym porozmawiać z tobą. Poczekam, aż skończysz lekcję.

– Mam wolną chwilę teraz. – Wyszła z Wendy do holu, zostawiając drzwi klasy otwarte.

– Przepraszam, że tu przyszedłam – powiedziała Wendy – ale to jest jedyne miejsce, gdzie mogę z tobą mówić sam na sam. Chcę cię przeprosić.

Jest mnóstwo rzeczy, za które Wendy powinna przeproszać, pomyślała Sharley.

– Za co? – spytała prosto z mostu.

– Za to, że błagałam Spena, żeby ci nie powiedział prawdy. Byłaś tak bardzo zagniewana, że się przeraziłam tego, co mogłabyś zrobić. Lecz teraz wiem, że nie doceniłam cię.

– Dlatego, że wuj Martin wyznał mi wszystko, a ja nie zawiodłam jego zaufania?

– Tak. To i jeszcze inne rzeczy. Przepraszam, Sharley. Gdybym pozwoliła Spenowi wyjaśnić wszystko, zanim wybiegłaś z domku...

Sharley chciała powiedzieć: To prawda, Wendy, zrobiłabyś nam wszystkim wielką przysługę, gdybyś się nie wtrąciła. Ale to nie była cała prawda. Byłoby niesprawiedliwe obciążać winą tylko Wendy.

– Nikt nie ma takiej władzy nad Spenem. Gdyby chciał mi powiedzieć, toby to zrobił.

– Ale ty nie uwierzyłaś, że on powiedział prawdę. – Wendy zasepiła się lekko.

– Jego słowo ma dla niego wielką wagę.

To oświadczenie zabolalo Sharley. Chciała powiedzieć: Trochę późno na tę pogawędkę, nie sądzisz? Ale powiedziała tylko:

– Muszę wrócić do moich uczniów, Wendy. Czy jest jeszcze coś, co mogę zrobić dla ciebie?

– Chcę, abyś wiedziała, że wyjeżdżam. – Wendy pobladła. – To nie Martin każe mi stąd wyjechać ani ja nie uciekam. Ale uzgodniliśmy, że będzie lepiej, gdy nie pozostanę w Hammond's Point. – Jej głos był pełen bólu. – Możesz się nie obawiać, że znów cię coś zaskoczy. Bardzo zależy mi na Martinie i szanuję decyzję, którą podjęliśmy.

Sharley ścisnęło coś za gardło. Ta kobieta naprawdę go kocha, pomyślała, i jest nieszczęśliwa, jak my wszyscy. Wyciągnęła rękę i położyła ją na dłoni Wendy.

– Przykro mi, że to wszystko nie mogło być łatwiejsze.

– Dla nas obu – zgodziła się Wendy.

Uścisnęła dłoń Sharley, odwróciła się i szybko zbiegła na dół do wyjścia.

Ulice były lekko zaśnieżone, a dzieci, biegnąc do domów, nie zwracały uwagi na kłopoty, jakie sprawiają kierowcom. Sharley musiała więc skoncentrować się na prowadzeniu samochodu.

Kiedy stanęły na światłach, Amy powiedziała zaciekawiona:

– Widziałam, że miałaś dziś po południu gościa.

Sharley uśmiechnęła się niepewnie.

– Czy jesteś w aż tak zażyłych stosunkach z Wendy Taylor, że przychodzi do ciebie, kiedy chce?

– Nie aż do tego stopnia – usiłowała żartować Sharley.

Zatrzymała się blisko warsztatu i Amy podniosła swoje książki z podłogi. Ale nie wysiadała z samochodu. Popatrzyła przenikliwie na Sharley i powiedziała:

– Jest jeszcze coś, co chyba powinnaś wiedzieć. Ja to wyśmiałam jako bzdurę i na pewno tak jest, ale...

– Co znowu? – westchnęła Sharley.

– Gadają na mieście, że Spen to zrobił naumyślnie.

– Idzie o ten rzekomy romans z Wendy?

– Nie o romansie gadają, a o zatruciu gazem.

Oczy Sharley rozszerzyły się ze zdumienia.

– Najnowsza wersja mówi, że on pojechał za tobą do domku w lesie, żebyś jeszcze zastanowiła się nad zerwaniem i...

– To idiotyczne!

– I kiedy nie zgodziłaś się na pojednanie, on próbował pójść śladem ojca i... zabrać cię ze sobą.

Sharley nie mogła ochłonąć z oszołomienia. Pomysł, że Spen mógłby popełnić samobójstwo i, co więcej, morderstwo, był absurdalny. Jak potwornie łatwo przekreślić prawdę, żeby historyjka wyglądała ciekawiej!

Kierowca z tyłu za nimi zatrąbił niecierpliwie. Amy otworzyła więc drzwi, mówiąc równocześnie:

– Przykro mi, że ja ci to powiedziałam... Sharley opanowała się.

– Nie przejmuj się. Do jutra!

Energicznie ruszyła i wjechała na pas szybkiego ruchu. Omal nie przegapiła pralni. W ostatniej chwili udało jej się zaparkować. Z trudem wysłuchała uprzejmych uwag ekspedientki o pogodzie. Wyciągała już pieniądze z portfela, kiedy ekspedientka nagle powiedziała:

– Znaleźliśmy to w jednej z kieszeni płaszcza, panno Collins – i położyła na ladzie kopertę.

– Dziękuję i przepraszam za nieuwagę. – Sharley zapłaciła i sięgnęła po kopertę. Zdawało się, że papier pali jej palce.

Widziała już kiedyś tę kopertę. Wydawało jej się teraz, że było to wieki temu. Ręce zaczęły drżeć. Wyjęła niegdyś tę kopertę ze skrzynki na listy przy domku ogrodnika i machinalnie wsunęła do kieszeni płaszcza. Miała zamiar przeczytać list, jak wróci do domu. Ale wtedy właśnie runął jej cały świat i na śmierć zapomniała o kopercie. Wrzuciła płaszcz do szaty, a później oddała go do pralni.

Teraz zaś powiesiła plastikową torbę z płaszczem na haczyku przy tylnym siedzeniu, tak ostrożnie, jakby od tego zależał los wszechświata.

Wjechała do parku. Zatrzymała się w oddalonym kącie, tam gdzie kiedyś spędzili ze Spenem tak miło czas na zimowym pikniku. Otworzyła kopertę i wyjęła list.

Był krótki, ledwie kilka linijek, pisany na firmowym papierze Hudson Products. Wyobraziła sobie Spena, siedzącego przy swoim biurku z wiecznym piórem w ręce. I mogła prawie usłyszeć jego głos...

„Sharley, kochana, tylko tydzień do naszego ślubu. Wszystko dzieje się tak gorączkowo, że nie mamy czasu porozmawiać... „

– Tak – szepnęła – ale przecież mieliśmy mieć tyle czasu, ile dusza zapagnie! – Wytarła łzy, ażeby móc czytać dalej:

„Chcę, żebyś wiedziała, że dałaś mi dar najcenniejszy, jaki tylko mogłem

otrzymać. Miłość, oczywiście, ale co jest równie ważne dla mnie: zaufanie. Wiedziałaś, kim był mój ojciec, ale nie wiedziałaś pewnie, że dla wielu ludzi w tym mieście nie liczy się moje słowo, ponieważ jestem synem mego ojca, oni mu zaufali, a on zawiódł ich zaufanie. Ty nigdy we mnie nie wątpiłaś. Dlatego tak bardzo cię kocham. Oczywiście, nie tylko dlatego... Nie mówiłem o tym, bo bałem się, że to zabrzmiałoby zbyt sentymentalnie. Ale chcę, żebyś wiedziała... „

Sharley oparła czoło o kierownicę.

Spen wsunął ten list do skrzynki i wszedł do domu, ażeby czekać na nią, a zastał tam Wendy. Wtedy ona weszła. I jego życie roztrzaskało się w drzazgi.

Chciałaby się rozplakać. Ale ból był zbyt głęboki, zbyt okrutny. I nie mógł znaleźć ujścia we Izach.

Co Wendy powiedziała dziś po południu? Jego słowo to bardzo ważna rzecz dla niego... Nawet Wendy zrozumiała to, czego ona, Sharley, nie pojęła.

Był przekonany, że przeczytała ten list jeszcze przed wejściem do domku. Nic dziwnego, że zareagował tak, jak zareagował. Musiała wydać mu się bez serca.

Gdyby wcześniej próbowała poznać go lepiej. Zrozumieć, co sprawia, że różni się od innych, co sprawia, że jest tym jedynym mężczyzną, którego pokochała. Ale nie zdawała sobie sprawy, jak ważne dla Spena było to, że ona mu wierzyła.

Płomień miłości zgasł. Co do tego nie ma wątpliwości. Sama go zdusiła. Ale przynajmniej teraz, po przeczytaniu listu, może być pewna, jak nigdy od fatalnego incydentu z Wendy, że kiedyś on ją kochał.

Teraz pozostawało pytanie, czy popioły miłości są już całkiem zimne, czy też tli się w nich jeszcze ostatni ogieniek, szansa przywrócenia do życia.

Przy obiedzie Sharley z trudem coś przełknęła. Nawet nie udawała, że się przysłuchuje rozmowie. Myślami pogrążona była we własnej udręce. Wracając do ostatniej rozmowy ze Spenem, próbując znaleźć choć odrobinę czegoś, co podniosłoby ją na duchu. Przepraszać za to, że go nie rozumiała? Można by spróbować, naturalnie, ale nie oczekiwała, aby same słowa mogły mieć wielkie znaczenie. Nie, musi być lepszy sposób na odpokutowanie winy.

Jak on powiedział? Że pokajanie tylko wtedy ma sens, jeśli druga strona uwierzy, że krzywda już się nie powtórzy... Tak, to było to...

Charlotta, obserwując, że Sharley prawie nic nie je, powiedziała w końcu:

- No cóż, chyba przekonałaś się, że trzeba słuchać doktora, Sharley.
- Co? Och, po prostu jestem zmęczona. Jutro na pewno pójdzie mi łatwiej.
- Nie powinnaś chodzić do szkoły, póki nie wydobrzejesz zupełnie.

– Sharley ma prawo do własnych decyzji – wtrącił Martin.

Wuj się zmienił, pomyślała Sharley. Nowa nuta brzmiała w jego głosie. Jakby odzyskał szacunek dla samego siebie i przestał się czegoś bać.

– Bardzo to niemądre – mruknęła Charlotta. – I to wszystko, co mam do powiedzenia.

Libby wniosła obłany czekoladą sernik. Martin poczekał, aż wyszła, i zwrócił się do Charlotty:

– Powinniśmy wyjechać na trochę. To ci dobrze zrobi. Teraz, kiedy się czujesz lepiej...

– Kto powiedział, że się lepiej czuję?

– Z pewnością lepiej się czujesz niż jesienią – tłumaczył cierpliwie Martin. – Ale jeżeli boisz się, że wycieczka samochodem może być zbyt męcząca, to co byś powiedziała na rejs statkiem? Odpoczęłabyś i odzyskała siły. Morskie powietrze przez kilka miesięcy...

– Kilka miesięcy? Zostawiłbyś w rękach Spencera zarządzanie całym przedsiębiorstwem na kilka miesięcy?

– Dlaczego nie? – odparł poważnie. – Od roku zarządza całym zakładem. Ja jestem tylko figurantem, Charlotto, a kiedy pójdę na emeryturę, Spen przejmie firmę. – Nałożył sobie kawałek sernika i dodał dwuznacznie: – Jeżeli tu będzie.

– Co masz na myśli? – Sharley upuściła widelczyk.

Spojrzenie Martina było ciepłe i współczujące.

– To, co powiedziałem. Jeśli tu jeszcze będzie. A tak, jak sprawy wyglądają...

Nie dokończone zdanie złowieszczo zawisło w powietrzu. Sharley już wiedziała, co Martin miał na myśli. Nie trzeba było być geniuszem, żeby odgadnąć. Spen miał wszystkiego dosyć. To jasne. Wyjeżdża. Nie będzie miała szansy, żeby mu powiedzieć, jak bardzo żałuje tego, co się stało. Chciała wprost krzyknąć z bólu. Ale rozumiała, że nic go nie trzyma w Hammond's Point. Nawet dobre imię, o które z takim trudem walczył, zostało nie z jego winy zniszczone.

– Ciociu – powiedziała nagle – pamiętasz o przyjęciu, na którym miałam cię zastąpić? To dziś wieczorem, prawda? O której się zaczyna?

– O ósmej. Ale skoro jesteś tak zmęczona, że nie możesz nawet jeść obiadu, z pewnością nie powinnaś wychodzić wieczorem.

Sharley już była na nogach.

– Nie chcę się spóźnić!

Nie miała wątpliwości, że cała śmietanka towarzyska Hammond's Point zjawi się w komplecie na występie sławnego muzyka. I nie pomyliła się. Kiedy

przedzierała się już przez tłum, przypominała sobie nazwiska niemal ich wszystkich. Dobre pole dla plotki. To, co ma do powiedzenia, szybko obleci całe miasto.

Z tacy, którą roznosił kelner, wzięła kieliszek szampana. Bardziej po to, żeby coś trzymać, niż żeby pić. Ręce jej drżały. Teraz, kiedy właściwy moment nadszedł, nie wiedziała, jak to powiedzieć.

Odwróciła się do stolika z herbatą i przed sobą zobaczyła Spena. Cofnęła się, jak przestraszona sarna. Byłoby o wiele łatwiej, gdyby nie stała z nim twarzą w twarz, kiedy będzie wypowiadać to, co miała do powiedzenia.

Szampan w kieliszku zakołysał się jak fala, grożąc, że się przeleje przez brzeg i splami mu koszulę. Dłoń Spena zacisnęła się mocno na przegubie jej ręki. Kieliszek znalazł się w bezpiecznej odległości.

Uścisk był niemal bolesny i Sharley skrzywiła się lekko.

– I Przepraszam – powiedział krótko i puścił jej rękę, – Moja wina. Oblanie cię szampanem nie byłoby jedyną rzeczą, którą musiałbyś mi przebaczyć – powiedziała spokojnie.

Spen już chciał odejść, ale jeszcze spojrzał na nią. Jest zdziwiony, pomyślała, może nawet trochę zmieszany.

Starsza pani, stojąca obok, uśmiechnęła się ironicznie.

– Nie przypuszczałam, że zobaczę coś takiego – szepnęła dość głośno do przyjaciółki.

Spen skłonił się zimno damie i odszedł kilka kroków. Serce Sharley zabiło mocniej. Od dzieciństwa wiedziała, że nie należy zwracać uwagi na tego typu chamstwo, którego zresztą Spen nieraz musiał doświadczyć na własnej skórze.

Zwróciła się do starszej pani:

– Zapewnie pani jest zdumiona, że to ja przepraszam? – Nie próbowała panować nad głosem.

Szepty zaczęły krążyć po sali.

Spen znów był przy niej i położył rękę na jej ramieniu.

– Czy nie za dużo szampana, Sharley? – zapytał cicho.

– Nie wypiałam ani kropli. – Spojrzała na niego i uśmiechnęła się. – Jest coś, co muszę powiedzieć, Spen. – Podniosła trochę głos, aby było jasne, że choć patrzy na niego, to mówi do wszystkich.

– Zerwanie naszych zaręczyn było największym błędem, jaki w życiu popełniłam. I głęboko żałuję mojej głupoty. Jedyнным wytłumaczeniem jest to, że nie doceniałam wartości człowieka, z którym byłam zaręczona. Byłam ślepa. Nie

przypuszczałam, że jest zdolny do tak wielkich poświęceń.

Twarz Spena była blada, usta zaciśnięte. Nie wiedziała czy to był szok, czy gniew, a może obawa, że ona powie tłumowi, że on nie tylko ocalił jej życie, ale i osłaniał Martina. Za późno, żeby się cofnąć. Brnęła dalej.

– I pragnę, żeby on wiedział i żebyście wy wszyscy wiedzieli, że gdybym mogła cofnąć czas, byłabym zaszczyczona, gdybym mogła zostać jego żoną.

Kilka nie kończących się sekund minęło. Spen milczał. Sharley odwróciła się i poszła w kierunku szatni. Jeśli upokorzyłam się, pomyślała, to w dobrej sprawie. Teraz pora szybko zniknąć. Zanim zaczną zadawać pytania.

Zobaczyła słynnego muzyka, stojącego obok gospodyni, i zatrzymała się przy nich.

– Przepraszam, że zrobiłam zamieszanie na przyjęciu na pana cześć.

Uklonił się z galanterią, ale już nie słyszała, co odpowiedział.

Poszła prosto do domku ogrodnika. Nie wiedziała dlaczego. Wiedziała tylko, że chce być sama, a tam nie będzie jej nikt przeszkadzał. Nie zapaliła świateł. Kiedy oczy przywykły już do zmroku, zobaczyła, że dostarczono resztę mebli. Para klubowych foteli stała przed kominkiem. W kącie jadalnym mały stolik dla dwojga. Domek pachniał świeżą farbą i nową skórą. Ale te przyjemne zapachy zmieszane były z wonią, która miała w sobie coś z opuszczenia i pustki. Ten domek powinien pachnieć kawą, gotowaniem, przyprawami wszelkiego rodzaju, jego aura powinna być związana z miłością.

Zanurzyła obie ręce w kieszenie płaszcza. Czubki palców dotknęły listu Spena. Było za ciemno, żeby go czytać, ale szelest papieru sprawiał jej ulgę. Kiedyś kochał ją. Nawet dzisiaj widziała w jego oczach pamięć tamtej miłości, ale to była tylko pamięć.

Zatopiła się w jednym z klubowych foteli, patrzyła w pusty kominek, pieściła list, jakby był pisany brailem i czubki palców mogły rozpoznać słowa. Zrobiłam wszystko, co mogłam, przekonywała samą siebie. Może przynajmniej przyjdzie się ze mną pożegnać, zanim opuści Hammond's Point.

Gdy myśląc o tym podniosła oczy, przez moment wydało jej się, że wyczarowała smukłą sylwetkę w głębi pokoju. Poruszył się, podszedł bliżej, a jego kroki byty tak ciche, jakby był duchem.

Nie mówił nic. Milczenie trwało tak długo, że się wydawało wiecznością. Ręce Sharley drżały. Sztywny firmowy papier szeleścił.

– Przeczytałam twój list.

– Psujesz sobie oczy. – Podszedł do kontaktu.

– Dostałam go dopiero dziś – rzekła cicho. Przez chwilę milczał.

– Ale przecież... powiedziałaś wtedy...

– Wyjęłam go tamtego popołudnia, tak. Ale, będąc w szoku, zapomniałam o nim, i dopiero dziś wpadł mi w ręce. Czy ty to rozumiesz, Spen?

Stał nieporuszony jak posąg. Ciemność w pokoju wydawała się jeszcze głębsza.

– Tak mi przykro... Oczywiście, mówiłaś wtedy prawdę i teraz już wiem, co powinnam odpowiedzieć.

Długo milczał.

– To było bardzo... ładne, to co zrobiłaś dziś wieczór.

„Ładne”. Mógłby to nazwać rozmaicie, ale to właśnie słowo dotknęło jakoś jej ambicję. Zminimalizowało efekt tego, co próbowała zrobić.

– Byłam ci coś winna – powiedziała sztywno.

– Czy dlatego to zrobiłaś? Nie odpowiedziała wprost.

– Przynajmniej przestaną cię oskarżać, że próbowałaś mnie zamordować.

– Nie wzięłaś tego chyba na serio? Bo ja... nie.

– Och, nie? To dlaczego Martin jest pewny, że dlatego wyjeżdżasz z Hammond's Point?

Nie odpowiadał przez chwilę.

– Martin wie świetnie, dlaczego chcę opuścić Hammond's Point.

Więc to prawda.

– Zabierz mnie ze sobą, Spen! – powiedziała, zanim zdała sobie sprawę, co mówi. – Nie oczekuję, że się ze mną ożenisz. Po prostu chcę być blisko ciebie. Daj mi jeszcze raz szansę, Spen!

Nacisnął kontakt, lampy rozblęły.

Sharley zamruwała w nagłym blasku. Światło obnażyło jej uczucia. Poczła się, jakby była naga i bezbronna. Nie mogła patrzeć na Spena. Wbiła wzrok w jego krawat w paski.

– Wyjechałabyś ze mną? – zapytał cicho.

Przytaknęła.

– Chociaż jestem bez pracy? Bez planów? Bez perspektyw?

– To bez znaczenia. Nie wiem, co będziesz robił, ja też nie wiem, ale wierzę w ciebie. Już raz zrobiłam błąd, nie ufając ci, Spen. Nie chcę tego powtórzyć.

Powoli jego ramiona objęły ją. Poczła, jakby nagle została owinięta w puchową kołdrę. Już nigdy nie będzie jej zimno. Nie mogła powstrzymać krótkiego szlochu. Ukryła twarz na jego piersi. Przywarła do niego, jakby był jedyną opoką na niepewnym świecie.

– Powinienem ci się przyznać – wyszeptał – że oczekiwałem zbyt wiele, prosząc o ślepe zaufanie, kiedy zastałaś mnie w tak kompromitującej sytuacji. Ale kiedy tak na mnie popatrzyłaś i powiedziałaś, że nie kochasz mnie aż tak, żeby wystarczyło moje słowo...

– Nie zdawałam sobie sprawy... – wykrztusiła. – Do głowy mi nie przyszło, że tak głęboko przeżywasz sprawę swego ojca...

– Zraniłaś mnie wtedy mocno. Nigdy cię nie okłamałem, Sharley, i nigdy kłamać nie miałem zamiaru.

– Więc wolałaś nie powiedzieć nic?

Przytaknęła.

– Teraz wiem, że ukrywać coś przed drugim człowiekiem, to jest też jakby rodzaj kłamstwa.

– Co ukrywałaś?

– To, że bardzo się bałem, jeszcze zanim wmieszała się Wendy...

– Bałeś się? – wyszeptała. – Dlaczego?

Westchnął.

– Bo tak cię głęboko kochałem, a bałem się, że może ty nie wiesz, co to jest miłość.

Przypomniała sobie, co powiedział, gdy w biurze wyznała, że go kocha.

– A ty obawiałaś się, że bardziej kocham ideę bycia zakochaną niż ciebie? Mogłeś mieć troszeczkę racji. Wiem, że nie doceniałam cię, póki cię nie straciłam.

– Tego dnia, kiedy ode mnie odeszłaś, coś pękło, Sharley. – Wtulił twarz w jej włosy. – Wciąż cię kochałem. Żebym nie wiem jak chciał cię wyrwać z serca, nie mogłem.

Wiedziała bardzo dobrze, jak to jest.

– Pojechałem do domku w lesie, żeby wyzwolić się od ciebie, a ty tam byłaś! Nie możesz sobie wyobrazić, jak trudno mi było wytrzymać w tych warunkach! Ile razy obróciłem się ku tobie, byłaś prawie w moich ramionach, gotowa do pocałunku.

– Nieprawda! – powiedziała z oburzeniem i lekko się zarumieniła, gdy spostrzegła, jak patrzy na nią sceptycznie.

– W każdym razie, nie zawsze – roześmiała się.

– Poranek, kiedy siedziałaś przed ogniem i suszyłaś włosy. To był najbardziej zmysłowy obraz, jaki kiedykolwiek widziałem. Złota przedza połyskująca w świetle ognia. I nie wiedziałaś nawet, jaka jesteś piękna – przeciągnął palcami przez jej włosy.

Sharley spojrzała na niego spod rzęs.

– Jeśli to robi na tobie takie wrażenie, mogę wymyślić jakieś wariacje na temat. Roześmiał się i pocałował ją. Sharley przywarła do niego całą sobą.

– Nie martw się o wariacje – powiedział w końcu. – Nie musisz się starać. Ty nawet budzisz się seksownie. Przecierasz oczy jak dziecko... – Nagle spoważniał. – Oczywiście nie mówię o tamtym wieczorze, kiedy nie mogłem cię dobudzić.

– Nie mówmy już o tym – przerwała mu. – To już minęło i mieliśmy dużo szczęścia, że tak się skończyło.

Przytaknął i powaga zniknęła z jego oczu.

– Może będziemy silniejsi dzięki temu przez co przeszliśmy? – szepnęła Sharley. – Byłam chyba bardzo niedojrzała...

– Może oboje tego potrzebowaliśmy – powiedział Spen cicho. – Nawet wtedy, kiedy mi wyznałaś, że mnie kochasz, zastanawiałem się, czy możemy coś jeszcze uratować. Zbyt się bałem, żeby zaryzykować. Dziś wieczór, po twoim wielkim występie, nie wiedziałem, czy cię ucałować, czy raczej bić głową o najbliższy mur, tak byłem wściekły na siebie. Jak mogłem oskarżać cię o to, że mi nie ufasz, skoro ja nie ufałem tobie?!

– Biedna twoja głowa – Sharley wsunęła dłoń w jego czuprynę. – A może raczej biedna ściana? Mogłaby nie być tak twarda, jak twoja głowa.

– Jednak nie zrobiłem nic. Stałem osłupiały. Pomyślałem, że dość już tego teatru...

– Cóż, jeśli ta scena dała pożądaną rezultat...

– Rzeczywiście, dała. Ale czy wyobrażasz sobie, co powie Charlotta, kiedy usłyszy, co zrobiłaś?

Sharley parsknęła śmiechem.

– Tak, wyobrażam sobie. Ale nie muszę się zawczasu tym przejmować. Dokąd pojedziemy, Spen? Myślę, że masz już jakiś pomysł. Chciałabym wiedzieć, jakie ciuchy pakować.

– Co byś powiedziała na Hammond's Point?

– Co? – wykrzyknęła zdumiona.

Przygarnął ją jeszcze mocniej.

– Myślałem o wyjeździe, tak. Nie z powodu plotek. Dużo gorsze rzeczy mam za sobą. Chciałem wyjechać, bo nie mogłem sobie wyobrazić, że żyję tu i patrzę na ciebie, i kocham ciebie, a ty nie jesteś moja.

– Czy Martin o tym wiedział? – spytała podejrzliwie.

– Tak, musiałem mu powiedzieć, dlaczego nie mogę przyjąć jego propozycji.

– Jakiej propozycji?

– On stworzył mi szansę, żebym mógł przejąć Hudson Products.

– Naprawdę?

– Zdał sobie sprawę, że nie dzieje się w firmie najlepiej. I pomyślał, że przyszedł czas, żebym mógł pokazać, co potrafię. To nie jest ani podarunek, ani łapówka, Sharley. To jest uczciwa transakcja. Niełatwo będzie rozkręcić interes. Mogą nas czekać chude lata.

– Nas? – zapytała niepewnie.

– Co ty na to, Sharley? Spróbujemy na nowo?

Popatrzyła na jego krawat w paseczki i powiedziała poważnie:

– Nie zrobiłam tego numeru dziś wieczór, Spen, żeby cię sprowokować do oświadczyn.

– Ja wiem. Mimo to, czekam na odpowiedź.

– Ty mi się naprawdę nigdy nie oświadczyłeś. Prześladowały mnie później koszmary na ten temat. Zastanawiałam się, czy ty w ogóle chciałeś mnie poślubić.

Całował ją długo i zachłannie. A kiedy już straciła prawie oddech i przywarła do niego jeszcze mocniej, przytulił policzek do jej włosów, mówiąc:

– Nigdy bym się nie odważył poprosić cię o rękę.

– Co? – prawie krzyknęła.

Wziął jej twarz w obie dłonie.

– Póki nie prosiłem, nie mogłaś odmówić, więc mogłem wciąż marzyć...

– Och – szepnęła cichutko. – W takim razie... – przerwała.

Spen westchnął.

– To znaczy, jak przypuszczam, że oczekujesz formalnych oświadczyn?

Dobrze, masz prawo.

Przyklęknął na jedno kolano i przycisnął jej rękę do serca.

– Sharley, czy zostaniesz moją żoną?

Popatrzyła na niego przeciągle, poprawiła mu krawat, jedną rękę oparła o klapę jego marynarki, a palce drugiej pieściły jego kark.

– Muszę to przemyśleć – szepnęła. – To wszystko jest takie nagłe...

Przez chwilę gapił się na nią, jakby zaczął jej wyrastać drugi nos. Po czym uśmiechnął się szeroko, chwycił ją za rękę, pociągnął na dywan i przywarł do niej całym ciałem.

– Takie nagłe? – szepnął. – O całe dwa tygodnie opóźniony ślub! Przeżyliśmy miesiąc miodowy, o którym trzeba zapomnieć, kochanie. A co byś powiedziała na taki, który będziemy pamiętali całe życie?

Jego pocałunek był długi, żarliwy, namiętny. Sharley była tak rozkosznie oszołomiona, że ledwie mogła przytaknąć.